BIBLJOTEKA i MUZEUM Z. N. P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PRÓŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
II. Nie dotykaj mnie brudnemi rękami.
III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Bibljoteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych próśb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

347

Printed in Poland

L U T N I A   P U S Z K I N A



ALEKSANDER PUSZKIN

według portretu Kipreńskiego

J U L J A N   T U W I M

L U T N I A   P U S Z K I N A

W Y D A W N I C T W O   J.   P R Z E W O R S K I E G O
W A R S Z A W A   1 9 3 7

OPRACOWANIE GRAFICZNE ANTONIEGO WAJWÓDA
ZAKŁADY DRUKARSKIE F. WYSZYŃSKI i S-KA, WARSZAWA

LUTNIĘ PUSZKINA poprzedzić miała znacznie obszerniejsza niż ta, którą daję, biografja poety; lecz praca w trakcie pisania przybierać zaczęła rozmiary tak pokaźne, że postanowiłem wyodrębnić ją w osobną książkę, która ukaże się jeszcze w ciągu rocznicowego 1937 roku. Tragiczny żywot scytyjskiego Apollina, miotanego genjuszem, namiętnościami i tęsknotą za wolnością, jest wstrząsającą powieścią o wiecznym zatargu między poetą a społeczeństwem, o wiecznej niewspółmierności nieba i ziemi. A że bohaterem tej powieści jest nie tylko cudowny poeta, ale jednocześnie i *genjusz uroku*, czarująca postać ludzka, sądzę, że obraz doczesnego życia Puszkina więcej o nim czytelnikom powie, niż kilkadziesiąt przełożonych wierszy. Tymczasem podaję najzwięźlejszy życiorys Poety.

Aleksander Puszkin przyszedł na świat w Moskwie, 6 czerwca 1799 r. Ojciec jego czerpał skromne dochody z zaniedbanych majątеczków ziemskich, nic nie robił, życie prowadził „światowe", interesował się literaturą i pisywał nawet jakieś wierszyki, francuskie i rosyjskie. Matka, Nadieżda, była wnuczką negra (ściślej: abissyńczyka) Abrama Hannibala, którego przywieziono kiedyś do Rosji i ofiarowano Piotrowi I-emu. Po tym czarnym pradziadku swoim odziedziczył poeta rysy twarzy i gorący temperament. Do 12 roku życia przebywał w domu rodzicielskim, ucząc się niechętnie, czytając za to, bez wyboru, wszystko co znalazł w bibljotece ojca, składającej się przeważnie z dzieł francuskich. Więc i pierwsze wierszyki ośmioletniego Puszkina układane były w tym języku. W roku 1811 oddano chłopca do Liceum w Carskiem Siole, gdzie przebywał do roku 1817, zachowując na całe życie najczulsze wspomnienia o tym okresie swych lat młodzieńczych. Przyjaźnił się tam najbardziej z Puszczinem (przyszłym dekabrystą), baronem Delwigiem (poetą) i miłym dziwakiem Kuechelbeckerem. Pedagogowie zaopinjowali, że Puszkin posiada subtelny lecz nie głęboki umysł, efektowne lecz powierzchowne zdolności

i że nie grzeszy pilnością. A przecież dużo musiał uczyć się i czytać piętnastoletni chłopiec, który w jednym z licealnych wierszy wymienia jako swych ulubionych autorów: Homera, Wergilego, Horacego, Tassa, Moljera, Rasyna, Woltera, Russa, Parny, Dierżawina, Fonwizina, Karamzina, Dmitrjewa i Kryłowa! I wierszy pisał dużo, budząc coraz większy podziw i miłość kolegów. Na młodziutkim poecie poznał się sędziwy Dierżawin, gdy na popisie w roku 1815 usłyszał Puszkina deklamującego wiersz „Wspomnienia o Carskim Siole". Nestor poetów rosyjskich był tak wzruszony i przejęty, że zawołał: „Ten będzie następcą Dierżawina!" Coraz większą uwagę zwracali na rosnący talent pisarze ówcześni, jak Batiuszkow, Karamzin, Żukowski i książę Wiaziemski — i coraz bardziej rósł genjalny liceista w sławę śród oficerów carskosielskiego pułku huzarów, z którymi się zaprzyjaźnił i których życie hulaszcze opiewał.

W czerwcu r. 1817 Puszkin wyszedł z Liceum w randze „kollegjalnego sekretarza" z pensją 700 rb. rocznie i zamieszkał u rodziców, którzy przenieśli się do Petersburga. Stolica porwała go w wir bujnego życia towarzyskiego — hulał, pił, kochał się, pojedynkował, grał w karty, robił długi i awantury, chodził na bale, balety i spektakle — a przecież tworzył coraz piękniej. W r. 1820 wydaje „Rusłana i Ludmiłę". Poemat staje się wielkiem wydarzeniem w życiu literackiem stolicy, jednocześnie coraz szerszy rozgłos zyskują zjadliwe epigramy na cesarza i możnych tego świata a także wręcz rewolucyjna oda „Wolność" — Puszkinowi grozi Sybir lub słynny klasztor Sołowiecki. Interwencja przyjaciół złagodziła te carskie zamiary: Puszkin zostaje zesłany na południe Rosji, z oficjalnym przydziałem do generała Inzowa w Ekaterynosławiu, gdzie przypadkiem poznaje rodzinę generała Rajewskiego — i dzięki wyrozumiałości Inzowa udaje się z Rajewskimi na Kaukaz i Krym, a następnie wraca do swego szefa, którego kancelarję przeniesiono w tym czasie do Kiszyniowa. Nudzi się piekielnie w tej brudnej mieścinie, często choruje, z nudów „odstawia" ekscentryczne kawały, chodzi po mieście dziwacznie ubrany, gra w karty i zdo-

bywa serca namiętnych mołdawianek. Poznaje generała Michała Orłowa, należącego do tajnej organizacji „Sojuz błagodienstwija“, oraz innych jej członków — późniejszych dekabrystów, którzy jednak nie wtajemniczali go zbytnio w swe plany, nie tylko z obawy przed lekkomyślną gadatliwością poety, ale i dlatego, że nie chcieli go narażać na niebezpieczeństwo.

Dalszym etapem „służbowego wygnania“ Puszkina jest Odessa Pracuje w kancelarji hr. Woroncowa, który, choć człowiek kulturalny, nie poznał się na swym urzędniku, urzędnik zaś nie potrafił kadzić panu hrabiemu; obydwaj spoglądali na siebie z poczuciem wyższości. Poeta, zajęty pisaniem „Jeńca Kaukaskiego“, „Braci-rozbójników“, „Fontanny Bachczysaraju“ i pierwszych rozdziałów „Eugenjusza Oniegina“, zaniedbuje obowiązki kancelaryjne, hrabia zaś pisze raporty do stolicy, w których przekonywa p. ministra, że sekretarz kollegjalny Aleksander Puszkin poddaje się zbytnio „niebezpiecznym i zaraźliwym ideom“, że ma przewrócone w głowie, że sukcesy literackie psują go, zdaje mu się bowiem, że jest wielkim pisarzem, „w samej zaś rzeczy jest tylko słabym naśladowcą poety, o którym niewiele dobrego można powiedzieć, mianowicie: lorda Byrona“. Pan minister dał posłuch wywodom pana hrabiego. W końcu lipca roku 1824 sekretarz kollegjalny wysłany zostaje do pskowskiej gubernji, do majątku swych rodziców, Michajłowskoje, pod opiekuńczy nadzór miejscowych władz.

Siedzi tam blisko dwa lata. Jeździ konno, gra w bilard z samym sobą, słucha bajek starej „niani“, którą w wierszu unieśmiertelnił, włóczy się po okolicznych jarmarkach. „Chandra i ani jednej myśli w głowie“, zwierza się w liście. „Deszczyk bardzo szumi, wiatr szumi, las szumi, szumnie a nudno“... Lecz ta nuda sprzyjała twórczości: w Michajłowskiem kończy Puszkin poemat „Cyganie“, pisze tragedję historyczną „Boris Godunow“, pracuje dalej nad „Onieginem“. Kiedyś, rankiem, niespodziewana wizyta: odwiedza go przyjaciel licealny Puszczin. Przegadali cały dzień. Wieczorem przyjaciele pożegnali się — już na zawsze: w grudniu te-

goż (1825) roku Puszczin za udział w spisku zesłany zostaje na katorgę.

Spisek wybuchł po śmierci Aleksandra I, gdy korzystając z niewyjaśnionej sytuacji w związku z objęciem tronu (Konstanty czy Mikołaj), dekabryści wyprowadzili zbuntowane wojska na Plac Senacki (14 grudnia 1825 r.). Rozgromiły ich armaty Mikołaja. Pięciu spiskowców zawisło na szubienicy, przeszło stu zesłano na Sybir. „Powieszeni — są powieszeni, pisał Puszkin, lecz katorga stu dwudziestu przyjaciół, braci, kolegów jest okropna". A śród rysunków poety widać wyraźnie szubienicę z pięcioma wisielcami, pod którą napisał: „I ja mógłbym jak tutaj"... „I ja mógłbym"...

Pewnej nocy wrześniowej r. 1826 zjawił się nagle w Michajłowskiem carski feldjeger i zabrał poetę do Moskwy — wprost przed oblicze Mikołaja. Majestat przywitał Puszkina bardzo uprzejmie. Nastąpiła rozmowa:

— Gdybyś 14 grudnia był w stolicy, czy wziąłbyś udział w rebelji?

— Z całą pewnością, Wasza Imperatorska Mość. Uczestnikami buntu byli moi przyjaciele. Uratowała mnie jedynie nieobecność.

Potem była mowa o cenzurze. Car zaofiarował się łaskawie jako cenzor poety: „Przysyłaj mi wszystko, co napiszesz".

W ciągu paru lat następnych mieszka Puszkin w Moskwie i Petersburgu. Jest u szczytu sławy. Pisze dalej „Oniegina". Jesienią r. 1828 powstaje „Połtawa". Ukoronowany cenzor opiekuje się twórczością poety jaknajczulej: gdy Puszkin, w ścisłem gronie przyjaciół, czyta „Borisa Godunowa", szef żandarmów hr. Benkendorf zwraca mu natychmiast uwagę, że bez carskiego zezwolenia nie wolno mu w żaden sposób „rozpowszechniać" swych utworów. A gdy „Godunow" ma iść do druku, cesarz, po przeczytaniu tragedji, zaopatruje ją następującą uwagą: „Sądzę, że cel p. Puszkina byłby osiągnięty, gdyby, poczyniwszy odpowiednie zmiany, przerobił swą komedję na powieść historyczną w rodzaju Waltera Scotta".

W roku 1828 poznał Puszkin na jednym z moskiewskich balów szesnastoletnią cudownej urody dziewczynę, Natalję Gonczarową. Zakochał się w niej całym żarem swej afrykańskiej krwi. W kwietniu roku następnego oświadczył się. Nie dano mu formalnej rekuzy — kazano poczekać. Zakochany, jedzie na Kaukaz, towarzyszy armji Paskiewicza, przez trzy tygodnie przebywa w zdobytym od Turków Erzerumie, poczem wraca do Moskwy. W maju r. 1830 oświadcza się ślicznej *Nathalie* po raz drugi — zostaje przyjęty i jest szczęśliwy. Z początkiem jesieni wyrusza dla załatwienia spraw majątkowych do posiadłości ojca, Bołdino, gdzie zmuszony jest zostać przez parę miesięcy z powodu wybuchu nad górną Wołgą epidemji cholery. Zagrożone miejscowości otoczono kordonami wojska. Dwa razy próbuje przedostać się przez surowe kwarantanny, lecz daremnie. Jesień bołdińska była jedną z najpłodniejszych poetyckich jesieni Puszkina. W ciągu trzech miesięcy powstają „małe tragedje“: „Skąpy Rycerz“, „Mozart i Salieri“, „Uczta podczas dżumy“, dalej — „Powieści Biełkina“, dwa ostatnie rozdziały „Eugenjusza Oniegina“, poemacik „Domek w Kołomnie“ i blisko trzydzieści utworów lirycznych. Ten przebogaty plon twórczy zadał kłam syczącym padalcom dziennikarskim, co w „Połtawie“ i „Borisie Godunowie“ dopatrywały się już „upadku“ poety... Wreszcie w grudniu udało mu się wydostać z Bołdina. W dwa miesiące potem, 5 lutego r. 1831, urocza panna została żoną jednego z najgenjalniejszych poetów jakich ludzkość wydała. Podczas wymiany obrączek poeta upuścił niechcący swoją na ziemię; po chwili zgasła świeca, którą w ręku trzymał. „Zły znak“, powiedział. Zawsze był zabobonny. Nie omyliło go tym razem przeczucie.

Pusta, płocha, głupiutka — nie zdawała sobie śliczna pani Puszkinowa sprawy z genjuszu męża, mało ją obchodziła twórczość Puszkina; uwolniona z rygorów stanu panieńskiego i opieki dokuczliwej matki, rzuciła się *la belle Nathalie* w wir zabawy, balów i uciech wielkiego świata. Poezji Puszkina nie rozumiała, nudziło ją to właściwie; ale czuła, że splendor głośnego już w całej Rosji

imienia dodaje magicznego blasku jej urodzie. Balowano najpierw w Moskwie, potem w Petersburgu i Carskiem Siole. Jesienią roku 1831 dano Puszkinowi awans, zaliczono go oficjalnie do urzędników Kollegjum Spraw Zagranicznych z pensją 5000 rubli, lecz ta suma nie mogła wystarczyć na obecne potrzeby balującego *malgré lui poety*. Kochał żonę do szaleństwa, ale tęsknił za wolnością kawalerskiego życia. Coraz dotkliwiej dawały mu się we znaki kłopoty finansowe, carska opieka i nadzór żandarmów. „Ośmielam się prosić o jedną łaskę, pisał do Benkendorfa, abym na przyszłość miał prawo zwracać się ze swemi drobnemi utworami do zwykłej cenzury“. Oto o jaką łaskę musiał prosić cenzurowany przez Najjaśniejszego Pana poeta!

Pracował wtedy w archiwach nad dziejami Piotra Wielkiego, zbierał materjały do historji buntu Pugaczowa, jeździł w tym celu do wschodnich gubernji, a za nim szły „ściśle poufne“ listy: śledzić zachowanie i tryb życia radcy tytularnego Puszkina. W październiku roku 1833 przyjechał do Bołdina i w ciągu półtora miesiąca napisał „Jeźdźca Miedzianego“, „Pikową damę“, „Andżelo“, parę bajek, przełożył „Trzech Budrysów“ i „Czaty“ Mickiewicza i doprowadził do końca historję Pugaczowa. W połowie listopada wrócił do Petersburga.

„Domowa Madonna“ poety coraz większą robiła w stolicy furorę. Sam Najjaśniejszy Pan spoglądał na nią łaskawym okiem i wyraził życzenie, aby zaczęła bywać na intymnych przyjęciach, urządzanych w t. zw. Aniczkowskim pałacu. Lecz, by dostąpić tego zaszczytu, trzeba było posiadać rangę dworską. Aleksander Puszkin zaś był tylko „sowietnikiem tytularnym“. Otrzymał więc na Nowy Rok (1834) upominek od Imperatora: został mianowany kamerjunkrem — ranga, udzielana zazwyczaj młokosom. Puszkin wpadł w furję na tę wiadomość: była to nominacja wręcz ośmieszająca 35-letniego poetę. Staje się coraz bardziej rozdrażniony, mało pisze, mało drukuje, rosną troski i znużenie, opieka żandarmów posuwa się tak daleko, że otwierano listy Puszkina do żony, i coraz dokuczliwiej dają się poecie we znaki tarapaty pienięż-

ne. W lecie r. 1835 pisze do hr. Benkendorfa: „Zmuszony jestem położyć kres wydatkom, wpędzającym mnie w długi i prowadzącym ku przyszłości, pełnej niepokoju i trosk, jeżeli nie wprost nędzy i rozpaczy. Trzy lub cztery lata pobytu na wsi dadzą mi znowu możność powrotu do Petersburga i pozwolą zabrać się do pracy, którą zawdzięczam dobroci Jego Cesarskiej Mości". Cesarz zarządził udzielenie Puszkinowi pożyczki (30 000 rubli), lecz na stały pobyt na wsi nie pozwolił. „W Petersburgu, pisze poeta do ojca, nic nie robię, tylko mnie żółć zalewa" („razdrażajus' do żełczi"). Jesienią r. 1835 udało mu się wyrwać na wieś: był w Michajłowskiem przez jeden miesiąc. „Takiej bezpłodnej jesieni, pisze do żony, jak żyję nie miałem... Natchnienie wymaga spokoju serca, a mnie daleko do spokoju". Pani balowała wówczas w stolicy.

Dotrzymywał jej wiernie towarzystwa wspaniały gwardzista cesarski, baron George D'Antès, francuz, który po rewolucji lipcowej r. 1830 emigrował ze swej ojczyzny. Zapłonął on gorącą miłością dla czarującej *madame Pouchkine*. Bywa w domu poety, nie odstępuje pani na balach i przyjęciach. Latem roku 1836 — pierwsze plotki i szepty zaczęły obiegać stolicę. Jesienią otrzymuje poeta list anonimowy: nominację na zastępcę Wielkiego Mistrza Zakonu Rogaczów...

Zaszczuty przez opinję, w obronie honoru ukochanej żony, stawia własne życie na kartę: 8 lutego r. 1837 odbył się pojedynek; wspaniały huzar czy kirasjer Jego Cesarskiej Mości wpakował największemu poecie rosyjskiemu kulę w brzuch; po dwuch dniach straszliwych cierpień, 10 lutego, poeta umarł.

TYTUŁ „Lutnia Puszkina" pomyślany był przed laty, gdy zuchwale mierząc siły na zamiary, sądziłem, że go zawartość książki w pewnym stopniu usprawiedliwi; zamierzałem bowiem, nie ograniczając się, jak w tej antologji, do utworów lirycznych poety, dać przegląd c a ł e j twórczości Puszkina, więc także fragmenty poematów, dramatów, bajek, powieści i innych działów przebogatej jego poezji. Ale po doświadczeniu z czterowierszem prologu „Rusłana i Ludmiły", po wielu tygodniach daremnego borykania się z jedną tylko strofą „Oniegina", po wieloletnich a fiaskiem zakończonych próbach przełożenia wierszy „Ja pomniu czudnoje mgnawieńje", i „Żił na swietie rycar' biednyj" oraz paru innych przedniejszych pereł Puszkinowej poezji, trzeba było zacząć pokorne mierzenie zamiarów na słabe siły i poprzestać na wyborze samych wierszy, dodając tylko urywki z dawniej przetłumaczonego „Jeźdźca Miedzianego", kawałątek „Połtawy" i epilog „Cyganów", który i w oderwaniu od poematu jest przepięknym, samoistnym wierszem. Ale i ten wybór liczne ma braki. Oprócz dwuch wyżej wymienionych, nie poddały się przekładowi tak cudowne i ukochane przeze mnie wiersze jak: „Piewiec", „Riediejet obłakow lietuczaja griada", „Fontann liubwi", „Kinżał", „Liubliu wasz sumrak nieizwiestnyj", „Buria" („Ty widieł diewu na skalie"), „Pod niebom gałubym strany swajej radnoj", „Arion", „Nienastnyj dień pagas", „Dlia bieriegow atczizny dalnoj", „Niet, ja nie darażu", „Zoriu bjut" i in.

*

O metodzie i wyniku mej pracy przekładowej sąd wydadzą znawcy — sąd słusznie surowy, bo nie na miejscu byłaby pobłażliwość dla porywania się piórem-motyką na Słońce poezji rosyjskiej. Jaknajdalszy od fałszywej skromności, zdaję sobie sprawę z nielicznych zalet tej pracy, ale i niezliczone wady jej widzę. Pierwsza z nich i kardynalna — to rymy, często niepełne, aso-

nansowe, nawet czasem echowe, gdy u Puszkina rym zawsze jest pełny i wyraźny. W rytmice i melodyce wiersza starałem się pozostawać jaknajbliżej oryginału, ale i tutaj częste są potknięcia; zwłaszcza w tak częstym u Puszkina jambie. Przyczyniły się do tych krzywd, poezji Puszkina wyrządzonych, dobrze tłumaczom z rosyjskiego znane utrapienia: niedostatek rymów męskich w polszczyźnie przy bogactwie ich w mowie rosyjskiej i na mur ustabilizowany akcent słów polskich, gdy w rosyjskich zmienny jest i ruchliwy. Pomijając liczne inne różnice we właściwościach dźwiękowych i metrycznych obu tak bliskich zdawałoby się (a w istocie bardzo sobie dalekich) języków słowiańskich, już te dwie sprawiają, że przekład poetycki jest w rezultacie sumą świadomych kompromisów artystycznych: w walce o zdobycie całości poświęca tłumacz ten lub ów składnik formalny oryginału. Całość zaś rozumieć należy nie tylko dosłownie; całością wiersza jest przedewszystkiem jego dominanta poetycka: tę trzeba wyczuć, uchwycić i wydobyć. A zrobić to można tylko drogą ofiar. „Najistotniejszą tłumacza powinnością, (mówi Delille; cytuję według Felińskiego), w której zamykają się wszystkie inne, jest, żeby starał się sprawić w każdym wyjątku ten sam skutek, jaki sprawił autor. Przekładający wystawić winien, jeśli nie te same piękności, przynajmniej taką liczbę piękności, jaka jest w oryginale. Ktokolwiek przedsiębierze tłumaczyć, zaciąga dług, i powinien wypłacić, chociaż nie tą samą monetą, ale też samą sumę. Jeśli gdzie nie może wydać obrazu, niech go zastąpi myślą; nie zdoła malować dla ucha, niech maluje dla duszy; jeśli nie jest tak zwięzły, niech będzie bogatszy. Przewidujeli, że musi osłabić oryginał w miejscu jednem, niech go wzmocni w drugiem; niech mu wróci niżej, co wyżej odjął; tak dalece, żeby uczynił wszędzie sprawiedliwe wynagrodzenie, ale zawsze jaknajmniej oddalające się od charakteru dzieła i każdej jego części. Dlatego rzeczą niesprawiedliwą porównywać każdy wiersz tłumacza z wierszem oryginału. Sama całość i każdego wyjątku skutek może dać miarę o rzetelnej tłumaczenia wartości".

LUTNIA PUSZKINA

PRZYPOMNIENIE

Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary
I noc, wpół-przejrzystą szatę
Rozciągając nad głuchej stolicy obszary,
Spuszcza sen, trudów zapłatę:

Wtenczas mnie samotnemu rozmyślań godziny
W ciszy leniwo się wleką,
Wtenczas mnie ukąszenia serdecznej gadziny
Bezczynnemu srożej pieką.

Mary wrą w myśli, którą tęsknota przytłacza,
I trosk oblegają roje;
Wtenczas i przypomnienie w milczeniu roztacza
Przedemną swe długie zwoje.

Ze wstrętem i przestrachem czytam własne dzieje,
Sam na siebie pomsty wzywam,
I serdecznie żałuję i gorzkie łzy leję,
Lecz smutnych rysów nie zmywam.

Przekład Adama Mickiewicza (1828)

Z ODY „WOLNOŚĆ”

. . . .

Gdy nad posępną Newy toń
Gwiazda północy wzejdzie blada,
Gdy błogo ociężała skroń
Zwolna w spokojny sen zapada,
Wtedy — na groźny, śpiący w mgłach
Pomnik tyrana zapomniany
Spogląda pieśniarz zadumany
I widzi pusty, mroczny gmach.

I muzy Klio straszny głos
Grzmi spoza murów w pustce ulic,
Pieśniarz — tyranów widzi los:
Ostatnie chwile Kaliguli.
Ostróg, orderów słyszy brzęk,
Mordercy idą sprzysiężeni,
Winem i gniewem upojeni;
W ich oczach zemsta, w sercu lęk.

Zwodzony opuszczono most,
We mgle milczące straże sterczą.
Idą przez mrok, we wrota wprost,
Otwarte ręką przeniewierczą.
O, wstydzie! Zgrozo naszych dni!
Rozżarte wdarły się janczary!...
Padną niesławne ciosy kary — —
I zginął uwieńczony zbir.

I dziś, o cary! wiedzcie, że
Ni gniew, ni łaska, ni szaleństwo,
Ni krew katowni ani msze
Nie zabezpieczą was przed zemstą.
W pokorze pierwsi chylcie skroń
Przed prawem i sprawiedliwością,
A szczęściem ludu i wolnością
Po wieki się ostoi tron.

DO ŻUKOWSKIEGO

Gdy wzniosłą duszą w świat marzenia
W twórczym unosisz się porywie
I na kolanach niecierpliwie
Trzymasz swą lutnię, pełen drżenia;
Gdy w czarodziejskiej mgle, jak w kole,
Zjawy przed tobą krążą wieszcze
I ziąb natchnienia przejmie dreszczem,
Podnosząc włosy na twem czole —
— Tak! prawda! tworzysz dla wybranych,
Nie dla zawiścią opętanych,
Nie dla nędzarzy, co w pokorze
Odpadki cudzych zdań podjęli,
Lecz dla czcicieli iskry bożej,
Dla objawionych prawd czcicieli.
Nie wszystkich losu dłoń przyjazna
Laurami wieńczy. Ten szczęśliwy,
Kto szczytu upojenia zaznał
W wierszach i wzlotach myśli żywej;
Komu Poezji skarb bezcenny
Rozkoszą stał się i podnietą,
Kto pojął zachwyt twój, poeto,
Zachwytem jasnym i płomiennym.

BŁOGOSŁAWIONY, KTO SAMOTNIE...

Błogosławiony, kto samotnie,
Zdala od zrzędy a nieuka,
Z lenistwem dzieląc trud roztropnie,
Wspomnienia i nadziei szuka;
Komu przyjaciół los przeznaczył,
Kto skrył się, jak w klasztornej celi,
Od ignorantów-usypiaczy
I arogantów-budzicieli.

M U Z A

Gdym jeszcze dzieckiem był, miłością mnie darzyła
I siedmiotrzcinną mi syryngę powierzyła.
Słuchała mnie z uśmiechem, gdy niepewnie
Po dźwięcznych wcięciach pustej trzciny śpiewnej
Wodziłem palce, próbujący, pełen trwogi,
Podniosły wygrać hymn, zesłany mi przez bogi,
Lub z pól frygijskich sielankowe pienia.
I w niemym cieniu dębów, bez wytchnienia,
Słuchałem pilnie nauk Panny tajemniczej,
Co, chcąc nagrodzić mnie, w dobroci swej dziewiczej
Z miłego czoła włosy odgarniała
I sama z moich rąk łaskawie fletnię brała;
I trzcina żyła znów od jej boskiego tchnienia,
Wlewając w serce me czar święty zachwycenia.

UMILKNĘ WKRÓTCE JUŻ...

Umilknę wkrótce już. Lecz jeśli chwilom smutku
W zadumie echo strun wtórzyło pocichutku;
Lecz jeśli, zwierzeń mych słuchając, przyjaciele
Dziwili się, żem zniósł, kochając cię, tak wiele;
Jeżeli nawet ty, wzruszona, rozczulona,
Mój bardzo smutny wiersz szeptałaś zamyślona,
W żarliwe słowa me łaskawie zasłuchana;
Lecz jeśli kochasz mnie, to pozwól dźwięki lutni
Imieniem natchnąć swem — dziś, kiedy mi najsmutniej,
Kiedy cię żegnać mam, jedyna, ukochana!
Gdy mnie śmiertelny sen przeniesie w inne strony,
Nad urną moją stań i szepnij, pełna drżenia:
On był miłością mą, on był mi odstąpiony
Przez miłość i przez pieśń ostatnim tchem natchnienia.

P T A S Z E K

Zwyczaju ziemi mej ojczystej
I na obczyźnie wiernie strzegąc,
Przy święcie wiosny promienistej
Wypuszczam ptaszka więzionego.
Spłynęło na mnie ukojenie
I już nie skarżę się, nie trwożę,
Jeźlim choć jedno mógł stworzenie
Wolnością obdarować, Boże!



D E M O N

Gdy jeszcze świeży i uroczy
Był dla mnie każdy objaw bytu,
I lasu szum i dziewcząt oczy
I śpiew słowika aż do świtu,
Kiedy natchnione dzieła wieszcze,
Miłość i wolność, pęd do chwały
W młodzieńczej krwi budziły dreszcze,
Wznosiły mnie i upajały,
Chwile nadziei i rozkoszy
Tęsknotą nagłą tłumiąc we mnie —
Wtedy to jakiś Genjusz mroczny
Nawiedzać zaczął mnie tajemnie.
Posępnie płynął czas odwiedzin:
Przedziwny uśmiech, wzrok uwodny,
Zgryźliwe słowa, które cedził,
W mą duszę jad sączyły chłodny.
W bluźnierczą złość niewyczerpany,
Z bóstwem się mierzył bogoburczo,
Marzeniem wabił w świat nieznany,
Gardził natchnienia mocą twórczą.
Dla życia, dla wolności, chwały
Miał uśmiech drwiący i nienawiść;
Nie wierzył. I w przyrodzie całej
Niczemu nie chciał błogosławić.

WOLNOŚCI SIEWCA...

Wyszedł siewca...

Wolności siewca, sam na pole
Wyszedłem raźnie przed jutrzenką
I w rozoraną czarną rolę
Rzucałem nieskalaną ręką
Żywotne, urodzajne ziarno.
Lecz tylko czas straciłem darmo
I ciężki trud i dobrą wolę.

Pokornie paście się, narody!
Na nic wolności dar dla trzody.
Trzoda jest na to, żeby strzyc ją
Albo jej sprawić rzeź czasami,
A jej dziedzictwem i tradycją
Jest bicz i jarzmo z dzwoneczkami.



WÓZ ŻYCIA

Choćby się na nim ciężar wiozło,
Wóz w biegu lekko niesie nas;
Pogania wciąż, nie złażąc z kozła,
Woźnica dziarski, stary czas.

Na wóz siadamy rankiem, każąc
Choćby na zbity łeb, lecz gnać,
I niewygody lekceważąc,
Wołamy: jazda, k... m...!

W południe brak już tej śmiałości,
Ze strachu zaczynamy drżeć,
Przy każdym rowie, pochyłości
Krzyczymy: wolniej, durniu, jedź!

Już wieczór. Wóz nie zwalnia biegu.
Niech sobie pędzi dokąd chce.
Jedziemy, drzemiąc, do noclegu,
A czas pogania konie swe.

WYJĄTEK Z „ROZMOWY KSIĘGARZA Z POETĄ“

Błogosławiony, który w sobie
Zatajał wzniosłe ducha płody,
Za nic po ludziach, jak po grobie,
Nie spodziewając się nagrody.
Błogosławiony, kto w milczeniu
Poetą był — bez cierniów sławy,
O kim zapomniał tłum plugawy,
Kto zszedł ze świata bez imienia.
Sława, zawodna jak nadzieja,
Czem jest? Poszeptem czytelnika?
Szczuciem nieuka a złodzieja
Czy też zachwytem byle łyka?

Z POEMATU „CYGANIE“

Epilog

Poezji czarodziejska siła
W pamięci mglistej śpiewnie brzmi
I oto zjawy ożywiła
I jasnych i posępnych dni.
W kraju, gdzie długo bój się wiodło
I nie milkł wojny straszny głos,
Gdzie władztwa swego dumne godło
Pokazał Stambułowi Ross,
Gdzie stary orzeł nasz dwugłowy
Trwa w szumie sławy swej wiekowej,
Na stepach — tam, gdzie ślady żywe
Walk dawnych widać śród kurhanów,
Tam spotykałem mych cyganów,
Swobody dzieci dobrotliwe.
Lecz i wam szczęście nie jest dane,
Biedni synowie pól! I wy
Pod swym namiotem obszarpanym
W dręczące zapadacie sny.
I wasze koczownicze schrony
Nie uszły klęskom na wolności,
I wszędzie fatum namiętności
I nic przed losem nie obroni.

NAŚLADOWANIE KORANU

Fragmenty

I

Na cetno klnę się i na licho,
Klnę się na miecz i prawą bitwę,
Klnę się na jutrzni gwiazdę cichą
I na wieczorną klnę modlitwę:

Zaprawdę, nie rzuciłem ciebie!
Czyją-żem głowę w cieniu schronił?
Kogo-m ratował w złej potrzebie,
By czujnej umknąć mógł pogoni?

Azalim cię nie ja, w dzień skwaru,
Napoił pustynnemi wody?
A język twój — nie z mego-ż daru
Potęgą wzniósł cię nad narody?

Więc nie bój się! Przy prawdzie stój,
Sieroty skrzywdzić nie daj złemu,
Oszustwem gardź — i Koran mój
Stworzeniu głoś dygocącemu.

V

Ziemia w bezruchu; ogrom nieba
Podpierasz, Stwórco, barki swemi,
Iżby nie runął, nie pogrzebał
Upadkiem wielkim wód i ziemi.

Zażegłeś słońce we wszechświecie,
Iżby mu jaśniał żar wzniecony,
Jako w krysztale lampy świeci
Len, olejkami przepojony.

Do Stwórcy módlcie się! On mocen;
On wiatry rządzi; on po skwarze
Sprowadza chmury, chłodne noce,
I drzewios cień nam zsyła w darze.

On — Koran w blaskach wspaniałości
Przed Mahometa odkrył okiem.
I my przystąpmy ku światłości,
By opadł mrok przed naszym wzrokiem.

VI

Nienadaremnie śniłem o was
Z ogolonemi łbami w boju,
O was, siekących krwawą zbroją
Na szańcach, szczytach wież i w rowach.

Radujcie się! Zwycięscy krzyczą,
Synowie pustyń rozżarzonych!
Prowadźcie w jasyr młode żony,
Wojenną dzielcie się zdobyczą.

Wasze zwycięstwo — wam i chwała,
A niedowiarkom pohańbienie:
Nie wierząc w sen i objawienie,
Umknęli walce, gdy ich zwała.

Ze skruchą przyjdą i żałobą
Przed nasze skarbce i haremy
I rzekną: weźcie nas ze sobą,
A wy powiedzcie: nie weźmiemy.

Szczęśliwi, którzy padli w boju:
W edemie są po walce onej
I zanurzyli się w spokoju,
W błogości, niczem niezmąconej.

WIECZÓR ZIMOWY

Burza mgłami niebo kryje,
Wichrów śnieżnych kłęby gna,
To jak dziki zwierz zawyje,
To jak małe dziecię łka.
To ze strzechy nam słomianej
Wyrwie z szumem kępę mchów,
To, jak pielgrzym zabłąkany,
W okieneczko stuknie znów.

Bida z lichą tą chatynką!
Ledwo się światełko ćmi.
Czemuż, moja starowinko,
W kątku tak przymilkłaś mi?
Czyś znużona tą zamiecią,
Zawodzącą głuchy tren,
Czy miarowy turkot wrzecion
W błogi cię pogrążył sen?

Pijmy, wierna towarzyszko
Moich biednych młodych dni.
Jak nie sięgnąć do kieliszka,
Kiedy w sercu smutek tkwi?
Zanuć piosnkę o ptaszynie,
Co za morzem gniazdko ma,
Zanuć piosnkę o dziewczynie,
Jak po wodę rankiem szła.

Burza mgłami niebo kryje,
Wichrów śnieżnych kłęby gna,
To jak dziki zwierz zawyje,
To jak małe dziecię łka.
Więc wypijmy, starowinko,
Przyjaciółko troski mej!
Pijmy z żalu; gdzież to winko?
Zaraz sercu będzie lżej.



P R O R O K

Pragnieniem ducha i tęsknotą
Dręczyłem się w pustyni srogiej,
I sześcioskrzydły seraf oto
Ukazał mi się pośród drogi.
Palcami lekko, jako snem,
Musnął źrzenice me — i wtem
Przeźrzały wieszczo chwili onej
Jak u orlicy przelęknionej.
A potem uszu moich tknął,
I gwar i dźwięk w nich szumieć jął:
I zrozumiałem nieba gromy
I lot aniołów przez wyżyny
I w głębi morskiej chód gadziny
I ziół padolnych wzrost widomy.
I usta do ust przywarł mych
I grzeszny język wyrwał z nich
I wielomówny i zdradliwy,
W usta zamarłe i bez sił
Przemądrej żmije żądło wbił
Wolą prawicy swej straszliwej.
Przez pierś mnie ostrym mieczem ciął
I drżące serce wyjął z rany,
Żarzący węgiel ręką swą
Do piersi wraził rozpłatanej.
W pustyni-m leżał w martwym śnie,
I Boga głos przywołał mnie:
„Prorocze! wstań! i źrzyj! i twórz!
Niech wola ma się w tobie zbudzi!
I na obszarach ziem i mórz
Przepalaj słowem serca ludzi“.

SCENA Z „FAUSTA"

Brzeg morza. Faust i Mefistofeles.

FAUST

Nudzę się, czarcie.

MEFISTO Trudno, Fauście!

Takie już są człowiecze dzieje
I nie uniknie ich nikt z ludzi.
Każdy rozumny stwór się nudzi:
Ten — z pracy, tamten — że gnuśnieje;
Ten wierzy, tamten stracił wiarę,
Jeden się szczęścia nie doczekał,
Inny go zaznał ponad miarę,
I każdy ziewa, ale żyje —
I wszystkich grób, ziewając, skryje,
Więc i ty ziewaj.

FAUST Głupie żarty!

Nie gadaj tyle. Znajdź mi raczej
Jaką rozrywkę.

MEFISTO Wytłumaczę!

Mam dowód, logiką poparty.
Zapisz w albumie swym to jedno:
Fastidium est quies — nuda
To spokój duszy. Oto sedno!
Psycholog jestem, a ty — cudak.
Bo powiedz: kiedyś się nie nudził?
Pomyśl, poszukaj takiej chwili.
Wtedy, gdyś drzemał nad Wergilim

I rózgi brałeś, byś się zbudził?
Czy wtedy, gdyś różami wieńczył
Swawolne dziewy, zawsze chętne,
Darząc im w czadzie uczt szaleńczych
Porywy bujne i namiętne?
Czy wtedy, kiedyś się pogrążał
W sny wzniosłe, w nauki odmęty
I w ciemność brnąc, do wiedzy zdążał?
Lecz, jak pamiętam, nudą tknięty,
Mnie wreszcie mocą różnych figlów
Wyczarowałeś ze swych tyglów,
Jak arlekina. Jam obcesem
Skoczył i wił się drobnym biesem,
Woziłem cię do wiedźm, szatanic,
Pokazywałem duchy, zjawy,
I co? sam widzisz: wszystko na nic.
Chciałeś mieć sławę — no i miałeś,
Chciałeś pokochać — pokochałeś,
Wziąłeś od życia co się dało,
A czy zaznałeś szczęścia?

FAUST Mało.

Lecz przestań, nie rozjątrzaj rany.
Zgłębianie wiedzy to nie życie,
Przekląłem blaski jej zwodnicze...
I sławy promień niespodziany
Jest nieuchwytny... I honory,
Zaszczyty — wszystko to pozory,
Jak sen, bezmyślne... Lecz istnieje
Bezsporne szczęście: to harmonja
Dwóch dusz!

MEFISTO I pierwsza schadzka! Dzieje

Pierwszej miłości, prawda? Właśnie!
Lecz jeśli łaska, to wyjaśnij,
Kogo zaszczycasz tem wspomnieniem?
Nie Gretchen czasem?

FAUST O, marzenie!

Cudowny śnie! Płomieniu czysty
Miłości! Tam, gdzie zdrój przejrzysty,
Gdzie poszum drzew i nocne cienie,
O, tam, na pierś jej kłoniąc głowę,
Szczęśliwy byłem!

MEFISTO Wiekuisty!

Cóż to za brednie gorączkowe!
Sam siebie, Fauście, mamisz złudą
Usłużnych wspomnień. Lecz tej nocy
Kto przyprowadził ci to cudo?
Czy zdołałbyś bez mej pomocy
Zdobyć dziewczynę? Ja w tym czasie
Rozkoszowałem się, samotny,
Płodami pracy mej sromotnej...
Pamiętam! Kiedy ona, zda się,
Mdlała w ekstazie i zachwycie,
Ty, duchu niespokojny, skrycie
Wdałeś się w rozpamiętywania
(A to, jak wiesz, do nudy skłania).
I czy choć zdajesz sobie sprawę,
O czem myślałeś — w takim czasie,
Gdy nikt nie myśli, mój głuptasie?
Powiedzieć?

FAUST Powiedz. To ciekawe.

MEFISTO

Myślałeś: o, potulne jagnię!
Jak pożądliwie i namiętnie
Pragnąłem cię — płomienie pragnień
W tem sercu budząc umiejętnie!
Niewinnie, jakby mimo woli,
Czułej oddała się miłości,
Więc czemu we mnie tyle czczości,
Czemu znudzone serce boli?
Na chuci swej ofiarę biedną
Patrzę, rozkoszą upojony,
Ze wstrętem nieprzezwyciężonym.
Tak zbir bezmyślny — niepotrzebną
Popełnia zbrodnię, gdy nędzarza
Zarzyna w lesie bez korzyści,
I wtedy trupa klnie, znieważa.
Tak patrzy wzrokiem nienawiści
Rozpustnik na sprzedajne ciało,
Gdy już nasyci chuć zgłodniałą.
Tak rozmyślałeś. I odrazu
Wysnułeś wniosek, mój doktorze...

FAUST

Precz z oczu mych, piekielny stworze!
Przepadnij! Zgiń!

MEFISTO Według rozkazu.

Poproszę tylko o zajęcie.
Bez pracy, bez jakiegoś celu
Nie śmiem odchodzić, przyjacielu.
Może spróbować na okręcie?

FAUST

Co to za biały okręt? powiedz.

MEFISTO

Jest to hiszpański trójmasztowiec,
Co właśnie do Holandji jedzie.
Trzysta szubrawców przednich wiezie,
Dwie małpy, w beczkach skarb bogaty,
Wielki ładunek czokolaty
I modną dziś chorobę sławną,
Ofiarowaną nam niedawno.

FAUST

Wszystko utopić.

MEFISTO Słucham.

znika



DROGA ZIMOWA

Przez skłębionych mgieł tumany
Ledwo świecąc księżyc brnie
I na smutne pola, łany
Sączy smutne światło swe.

Nudną, senną drogą sanną
Rącza trójka chyżo gna,
Dzwonek śpiewkę nieustanną
Monotonnym brzękiem gra.

Coś tam słychać rodzimego,
Gdy zawodzi mój jamszczyk,
To się żałość w dal rozlega,
To hulaszczej pieśni krzyk.

Ani ognia, ani chaty,
Pusto, biało, głusz i śnieg,
Tylko mignie słup pasiaty,
Znowu wiorsta, znowu bieg.

Smutno, nudno... Jutro, Ninko,
Gdy znów będę z miłą swą,
Zapatrzony, przy kominku,
Nie napatrzę się ja w nią.

Dźwięcznie strzałka na zegarze
Krąg zatoczy — czas już, czas!
I natrętom drzwi pokaże,
Nie rozłączy jednak nas.

Smutno, Ninko, nudno, sennie...
Drzemiąc zamilkł mój jamszczyk,
Tylko dzwonek brzmi niezmiennie,
W mglistem niebie księżyc znikł.



PISMO NA SYBIR

W głębinie syberyjskich rud
Wytrwajcie dumni, niezawiśli,
Nie zginie wasz bolesny trud
I lot wysoki waszych myśli.

Nadzieja, siostra nieszczęśliwych,
Rozproszy kiedyś mroczny cień
I zbudzi rzeźką radość w żywych.
Nadejdzie upragniony dzień —

Miłości światło i przyjaźni
Dojdzie was przez ponurą noc,
Jak do katorżnej waszej kaźni
Mój wolny dziś dochodzi głos.

Okowy swe rzucicie precz,
Runą ciemnice, brzask zaświta,
Wolność na progu was przywita
I bracia wam oddadzą miecz.

A N I O Ł

Światłością lśniąc u wrót edemu
Stał z głową opuszczoną Anioł,
A buntowniczy, mroczny demon
Krążył nad piekła złą otchłanią.

Duch zaprzeczenia, duch bluźnierczy
Spoglądał na czystego ducha
I słodkim żarem po raz pierwszy
Miłośnie drgnęła istność głucha.

Nienadaremnie, rzekł, zaznałem
Blasku, co spłynął mi od ciebie:
Nie wszystkiem w świecie pogardzałem,
Nie wszystko-m nienawidził w niebie.

MÓJ TALIZMANIE, CHROŃ MNIE, CHROŃ...

Mój talizmanie, chroń mnie, chroń
W dni trwogi, troski, przeciwności,
W dni skruchy, łez, bo w dniu żałości
Przyjazna dała mi cię dłoń.

Gdy, rycząc, oceanu toń
Spiętrzy się wokół wodą ciemną,
Gdy zagrzmi burzy grom nade mną,
Mój talizmanie, chroń mnie, chroń.

Czy na obczyźnie spocznie skroń
Na łonie nudy i spokoju,
Czy w znojach płomiennego boju,
Mój talizmanie, chroń mnie, chroń.

Ułuda snów, najświętsza broń,
Duszy magiczna gwiazda miła,
Zawiodła, skryła się, zdradziła...
Mój talizmanie, chroń mnie, chroń.

Wspomnienie — o, nie wrócę doń!
Niech ran nie jątrzy już zgryzotą!
Żegnaj, nadziejo, śpij, tęsknoto...
Mój talizmanie, chroń mnie, chroń...

S Ł O W I K

W bezruchu drzew, gdy mgłami noc zawiewa,
Nad różą słowik orjentalny śpiewa.
Lecz miła róża śni, nie czuje i nie słyszy,
I zakochania hymn kołysze śniącą w ciszy.
Czyż nie tak samo ty chłodnemu pięknu śpiewasz?
Poeto, gdzież twój cel i czego się spodziewasz?
Zastanów się! Toć ona nie czuje i nie słucha!
Gdy patrzysz — róża kwitnie; gdy wołasz — cisza
[głucha



DO KSIĘŻNY Z. A. WOŁKOŃSKIEJ

W salonach balującej Moskwy,
W rozgwarze wista, walca, wina,
Śród plotek i rozmowy oschłej
Igraszki lubisz Apollina.
Królowo muz, urody, wdzięku,
Magiczne berło trzymasz w ręku
I twórcze budzisz nim natchnienia,
A twoje czoło zamyślone,
Podwójnym wieńcem uwieńczone,
Wijąc się, genjusz opłomienia.
Pieśniarza, co w pokornej dani
Składa ci, płonąc, słowa drżące,
Z uśmiechem słuchaj, nie odtrącaj!
Tak, w drodze będąc, Catalani
Cyganki słucha koczującej.

TRZY ŹRÓDŁA

W pustyni świata smutnej, nieskończonej
Trzy źródła trysły tajemniczo z ziemi:
Młodości źródło, wartkie i wzburzone,
Kipiącym szumem błyska się i pieni;
Kastalskie źródło, niosąc prąd natchnienia,
Wygnańców na pustyni świata poi;
Ostatnie — chłodne źródło zapomnienia...
I to — najsłodziej serca żar ukoi.

P O E T A

Póki poety nie przywoła
Apollo ku ofierze świętej,
W powszednich troskach i mozołach
Trwa marnościami pochłonięty.
Nie dźwięczy struny zamilkłemi,
W bezwładzie chłodnym dusza śni,
I pośród nędznych synów ziemi
Najnędzniej może spędza dni.
Lecz ledwo dźwięk boskiego słowa
Dotykiem muśnie czujny słuch,
Wnet zrywa się poety duch
I jako orzełby szybował.
Od uciech świata myśli biegą,
Nuży go rozgwar rzeszy tłumnej,
Do stóp bożyszcza ulicznego
Już nie pochyli głowy dumnej.
Zmieszany, dziki i surowy,
Pełen melodji biegnie w dal,
Nad morze, nad pustkowie fal,
W szerokoszumny gąszcz dąbrowy.

BLISKO WENECJI...

Blisko Wenecji złotej, wód królowej,
Gondoljer w blasku gwiazdy vesperowej
Śpiewa, gdy w dal samotnie łodzią płynie,
Rinalda i Godfreda i Herminję.

Kocha pieśń swoją, śpiewa dla zabawy,
Bez celu, bez nadziei; nie zna sławy;
Jest pełen cichej muzy — i bez trwogi
Osładza pieśnią dal bezdennej drogi.

Na morzu życia, gdzie śród mgły, w wichurze,
Samotnym żaglem mym miotają burze,
Jak on, bez echa, śpiewem serce koję
I lubię tajnie składać wiersze swoje.

SZCZĘŚLIWY JEST ŚRÓD JAŚNIEPAŃSTWA...

Szczęśliwy jest śród jaśniepaństwa
Wieszcz, co u królów posłuch miewa.
On gorzkie prawdy sączy w kłamstwa,
Łzami przyprawia śmiech, gdy śpiewa.
Dworaków tępy smak łaskoce
I chciwość sławy budzi w żądnych,
Ozdabia ich hulaszcze noce
I słucha pochwał arcymądrych —
Kiedy za drzwiami, jednocześnie,
Lud, przez fagasów popychany,
„Od kuchni“ tłoczy się, wsłuchany
W dźwięk jego pieśni.

MIASTO ŚWIETNE...

Miasto świetne, miasto biedne,
Duch niewoli, kształtny zrąb.
Zielonawe niebo blednie,
Chłodny granit, nuda, ziąb.

Jednak żal mi tu wszystkiego
I markotno mi co krok,
Bo tu mała nóżka biega,
Wije się złocisty lok.



TY I PAN

Zamiast pustego *pan* — w rozmowie
Wyrwało jej się czułe *ty*,
I wszystkie najszczęśliwsze sny
Zbudziła w duszy przy tem słowie.

Wpatrzony, miłość wzrokiem ślę,
Tęsknota serce przepełniła,
I mówię: jaka Pani miła!
I myślę: jak ja kocham Cię!

26 MAJA 1828 R.

O, daremne! o, zwodnicze!
Życie, na co mi cię dano
I zrządzeniem tajemniczem
Na stracenie cię skazano?

Kto złowrogim słowem swoim
Z nieistnienia w byt mnie wtrącił,
Namiętności w duszę wpoił
I zwątpieniem umysł zmącił?

Nie mam celu, nie chcę świata,
Serce puste, umysł płonny
I udręką mnie przygniata
Rozgwar życia monotonny.

NAŚLADOWANIE ANAKREONTA

Kobylico zapieniona,
Kaukaskiego stada chlubo,
Czego pędzisz jak szalona?
I na ciebie przyszła próba.
Nie wódź okiem przerażonem,
Dęba mi nie stawaj. Spokój!
W polu gładkiem i szerokiem
Narowiście nie galopuj.
Czekaj, znam ja te narowy
I poskromić je potrafię:
Bieg twój dziki — w krąg miarowy
Ukróconą uzdą wprawię.

A N C Z A R

W pustyni, co się w słońcu praży,
Na gruncie wyschłym i zmartwiałym,
Anczàr, jak widmo groźnej straży,
Sam stoi we wszechświecie całym.

Pustka, dręczona przez pragnienie,
Na świat wydała go w dniu gniewu
I od gałęzi po korzenie
Śmiertelny jad wsączyła drzewu.

Kroplami kapie jad przez korę,
Stopiony skwarem w ciecz ognistą
I zwolna stygnie przedwieczorem
W gęstą żywicę przezroczystą.

Tygrys ominie, ptak nie siędzie,
Tylko czasami wiatr gorący
Owionie drzewo to w rozpędzie
I pomknie w dal — już śmiercią tchnący.

A jeśli chmura, błądząc nad niem,
Gałęzie skropi mu złowieszcze,
To każda kropla, ledwo spadnie,
Zatrutym w piasek spływa deszczem.

Ale człowieka posłał człowiek,
Bo władny był i postanowił,
I poszedł na pustynię człowiek
I przyniósł jadu człowiekowi.

Przyniósł tej smoły jadowitej
I gałąź z liśćmi uwiędłemi.
Z bladego czoła pot obfity
Ciekł strumieniami śmiertelnemi.

Przyniósł — i osłabł — i półżywy
Legł pod stopami pana swego
I zmarł niewolnik nieszczęśliwy
Mocarza niezwyciężonego.

A król, dla sławy i na postrach,
Umaczał strzały swe w czemierze
I śmierć rozesłał na ich ostrzach
Ludziom-sąsiadom na rubieże.

DOJEŻDŻAJĄC DO IŻORÓW...

Dojeżdżając do Iżorów,
Popatrzyłem w nieba strop
I przypomniał mi się znowu
Lazurowy pani wzrok.
Choć mnie smętnie oczarował
Dziewczęcego wdzięku cud,
Choć wampirem mnie mianował
Gubernjalny twerski lud, —
Paść przed panią na kolana
Jednak nie ważyłem się,
Błaganiami zakochania
Nie chcąc, pani, trwożyć cię.
Czadem zabaw nieprzytomnie
Upijając się co krok,
Mam nadzieję, że zapomnę
Śliczne rysy, słodki wzrok,
Grację ruchów, wiotką kibić,
Powściągliwość skromnych słów
(Żeby czemu nie uchybić),
Chytry śmiech i spokój znów.
A jak nie — to znów przyjadę,
Dawnym śladem zjawię się
I przed słotnym listopadem
Nie przestanę kochać cię.

C Z E R Ń

Procul este, profani!

Poeta po natchnionej lutni
Niedbałą ręką lekko wiódł,
Poeta śpiewał — a okrutny,
Wzgardliwie zimny, bałamutny
Bezmyślnie słuchał ciemny lud.

I jął rozważać motłoch tępy:
„Poco te dźwięki śpiewnych gam?
Uszy nam tylko drze na strzępy,
A jaki cel wskazuje nam?
Czego nas uczy? o czem brzęczy?
Jak sztukmistrz płochy serca męczy
I niepokojem na nich gra.
Pieśń jego jest jak wiatr swobodna,
Ale też jako wiatr bezpłodna:
Jaką nam ona korzyść da?“

POETA

Milcz, niewolniku nędzy złej,
Najmito trosk, szarzyzny mdłej!
Tobieby wciąż korzyści, żeru!
Jam niebios syn, tyś ziemny czerw;
Ty — chcąc ocenić — ważysz wpierw
Cudowny posąg z Belwederu.
Korzyści, zysku z niego chcesz!
Lecz marmur ten — to bóg! Cóż? ty się
W glinianej bardziej kochasz misie,
Bo jadło, jadło z misy żresz.

CZERŃ

Nie, wieszczu! Jeśli los cię obrał
Za posła niebios, ty swój dar
Zużytkuj dla naszego dobra,
Byś z naszych serc ohydę starł.
Myśmy podstępni, źli, nikczemni,
Niewdzięczni, małoduszni, ciemni,
Sercem — rzezańcy zimnokrwiści,
Oszczercy, pełni nienawiści,
Stługłowy żre nas grzechów gad:
Ty, jeśli bliźnich swoich kochasz,
Ucz nas — i drogi cnoty pokaż,
A posłuchamy twoich rad.

POETA

Precz! Cóż poetę natchnionego
Obchodzi wasz plugawy los?
Gińcie w bezwstydzie grzechu swego!
Was nie ożywi lutni głos.
Mierzicie duszę, jak dech trupi.
Dla nikczemności waszej głupiej
Miała dotychczas ciemna dzicz
Więzienie, topór, nóż i bicz;
Starczy, jak na was, niewolnicy!
W miastach — brud zmiata się z ulicy,
Nie przeczę — pożyteczna rzecz!
Lecz zaniechawszy służby swojej,
Czy kapłan u was z miotłą stoi,
Ołtarz i mszę rzucając precz?
Nie dla powszednich trosk brzemienia,
Nie dla kramarstwa, nie dla bitwy,
Myśmy stworzeni dla natchnienia,
Dla dźwięków słodkich i modlitwy.

PIEŚŃ SZKOCKA

Kruk do kruka w polu skacze,
Kruk do kruka, skacząc, kracze:
Powiedz, kruku, co z obiadem?
Gdzie pożywić się, daj radę!

Kruk krukowi odpowiada:
Będzie obiad — i nielada;
Pod jaworem, pod zielonym
Leży wojak zastrzelony.

Kto go zabił i dlaczego,
Wie to jeno sokół jego
I kobyłka jego siwa
I gosposia urodziwa.

Sokół w gaju na gałęzi,
Na kobyłce zbójca pędzi,
Żonka czeka na miłego,
Na żywego, nie martwego.

Z POEMATU „POŁTAWA“

Na wschodzie brzask zapłonął nowy.
Już po równinie i od wzgórz
Armaty grają. Purpurowy
Dym się kołami wznosi już
I wita blask jutrzennych róż.
Zwarły się pułki. W tyraljerce
Pod świstem kul, pędzących w dal,
Po krzakach rozsypani strzelce
Bagnetów chłodnych jeżą stal.
Zwycięstwa dzieci i wybrańce,
Szwedzi się w ogniu rwą na szańce;
Konnica mknie od wiatru lżej,
Piechota za nią w marszu twardym
Ruszyła krokiem ciężkim, hardym,
I pęd i zamiar krzepiąc w niej.
I pole, pełne niepokoju,
Wybucha, płonie tu i tam,
Lecz widać już, że szczęście w boju
Nie Szwedom sprzyja, ale nam.
Na rozproszone, pełne grozy,
Pobite hufce — pada strach,
Ucieka Rosen przez wąwozy,
Kapituluje Schlippenbach.
Za pułkiem pułk odpiera wroga,
Sztandary jego pokrył mrok,
I łaską bitewnego boga
Pieczętujemy każdy krok.

Wtedy to, niebem snać natchniony,
Rozległ się Piotra dźwięczny głos:
„Do czynu, gdy nam sprzyja los!"
Z namiotu, świtą otoczony,
Wychodzi Piotr. Wzrok błyska. Trwoży
Zgrozą potęgi niewysłownej.
Ruchy ma szybkie. Jest cudowny.
Cały w piorunach, jak gniew boży.
Idzie. Rumaka mu przywodzą.
Rączy i wierny rumak rży,
Chrapami węsząc walkę, drży,
Dygoce. Ślepia kołem chodzą...
I pędzi w zamęt boju szumny,
Ze wspaniałego jeźdźca dumny.

Południe. Żarem niebo spływa.
Jak oracz, bitwa odpoczywa.
Kozackie tylko harce trwają.
Już znowu pułki się zbierają,
W bojowy ustawione szyk.
Bitewna muzyka ustała.
Na wzgórzach — ugłaskane działa
Przerwały już swój głodny ryk.
I nagle — ziemia wkrąg zadrżała:
„Urà!" — rozległo się jak grzmot.
To zjawił się przed frontem Piotr.
I przecwałował przed pułkami,
Radosny, wielki jak sam bój.
Pożerał pole źrenicami,
A za nim ów sławetny rój,
Pisklęta Piotrowego gniazda,
Co, choć jest zmienna losów gwiazda,
Wytrwali z nim i będą trwać

W mozołach wojny i rządzenia —
Synowie jego, wierna brać:
Więc Szeremietiew, cny doradca,
Brüss, Bour, Repnin — i ów bezrodny
Fortuny benjaminek godny,
Spół-panujący możnowładca.



W ROZKOSZNYM CIENIU, GDZIE FONTANNY...

W rozkosznym cieniu, gdzie fontanny
Zraszają ściany natryskami,
Poeta nieraz bawił chany
Grzmiącemi wierszy swych perłami.

Nić uciech ręką snuł swawolnie
I chytrze nizał nań klejnoty:
Pochlebstwa przezroczyste kolje,
Paciorki swej mądrości złotej.

Więc był przez Krym Saadi czczony
I nieraz słowa klechdy starej,
Gdy bajan śpiewał ją uczony,
Wprawiały w zachwyt Bachczysaraj.

Stały się jego opowieści,
Jako dywany erywańskie,
I zdobił wzór jaskrawej treści
Uczty girejów, uczty chańskie.

Lecz żaden z czarodziejów miłych,
Choć wzniosłym darem myśli władał,
Nie miał w bajaniu takiej siły,
Tak chytrze wierszy nie układał,

Jak ów przezierczy i skrzydlaty
Poeta z tej cudownej strony,
Gdzie mąż jest groźny i kosmaty,
Hurysom zasię równe żony.

Z N A K I

W drodze do ciebie — żywe sny
Wiły się wślad jak tłum szalony
I za mym rączym biegiem szły
I księżyc świecił z prawej strony.

W drodze powrotnej — inne sny,
Bo smutno duszy zatęsknionej
I towarzyszył mi z za mgły
Posępny księżyc z lewej strony.

Tak my, poeci, w ciszy, w głuszy
Marzenia wciąż snujemy płonne,
I tak to znaki zabobonne
Są zgodne z uczuciami duszy.

DO SZTAMBUCHA

Cóż tobie imię moje powie?
Umrze jak smutny poszum fali,
Co pluśnie w brzeg i zmilknie w dali,
Jak nocą głuchą dźwięk w dąbrowie.

Skreślone w twoim imionniku,
Zostawi martwy ślad, podobny
Do hieroglifów płyt nadgrobnych
W niezrozumiałym prajęzyku.

Cóż po niem? Pamięć jego zgłuszy
Wir wzruszeń nowych i burzliwych,
I już nie wskrzesi w twojej duszy
Uczuć niewinnych, wspomnień tkliwych.

Lecz gdy ci będzie smutno — wspomnij,
Wymów je szeptem, jak niczyje,
I powiedz: ktoś pamięta o mnie,
Jest w świecie serce, w którem żyję.

KOCHAŁEM PANIĄ...

Kochałem Panią — i miłości mojej
Może się jeszcze resztki w duszy tlą,
Lecz niech to Pani już nie niepokoi,
Nie chcę cię smucić nawet myślą tą.
Kochałem bez nadziei i w pokorze,
W męce zazdrości, nieśmiałości, trwóg,
Tak czule, tak prawdziwie — że daj Boże
Aby cię inny tak pokochać mógł.

NA WZGÓRZACH GRUZJI...

Na wzgórzach Gruzji leży nocna mgła,
    U moich stóp Aragwa szumi pienna.
Smutno i lekko mi. Tęsknota ma
    Świetlana jest i ciebie jednej pełna.

Ciebie jedynej! Smutkiem moich snów
    Już się nie dręczę więcej i nie trwożę,
I serce płonie, serce kocha znów,
    Nie kochać bowiem — już nie może.

I JA BYŁEM POŚRÓD DOŃCÓW...

I ja byłem pośród dońców
I osmanów gnałem szajkę,
Piłem, biłem się, by w końcu
Na pamiątkę wziąć nahajkę.

Na wyprawie, przy tobołku,
Miałem zawsze bałałajkę,
Cóż? powieszę ją na kołku
A tuż obok i nahajkę.

Nie utaję, przyjaciele:
Mam gosposię — cudo! bajkę!
Myślałem ja o niej wiele
I zerkałem na nahajkę.



SKARGI PODRÓŻNE

Długoż bujać mi po świecie,
To na siodle, to na wozie,
To w kibitce, to w karecie,
To na piechtę, to w powozie?

Nie w barłogu rodowitym
Śród ojczystych mogił skonam,
Lecz mi snać na trakcie bitym
Śmierć od Boga przeznaczona.

Na kamieniach, pod kopytem,
Pod kołami skrzypiącemi,
Pod dziurawym mostem zmytym
Albo w rowie, w mokrej ziemi.

Nuż się dżuma mnie uczepi
Lub skostnieję w mróz siarczysty,
Albo w łeb mi szlaban wlepi
Inwalida zadzierzysty.

Albo w głuchym lesie nożem
Zbój mi zada śmierć morderczą,
Albo z nudy zdechnę może
W kwarantannie jakiejś stercząc.

Długoż mi tak łykać ślinkę,
Z musu pościć, gdy los skarał,
I żuć zimną cielęcinkę,
Wspominając trufle Jara?

Inna rzecz na własnych śmieciach,
Po Miasnickiej trójką sypać,
O żeniaczce i o dzieciach,
O wsi marzyć — i zasypiać.

Inna rzecz herbata z rumem,
Jedną wypij, drugą nalej...
W domu, bracia, to rozumiem!
Ale co tam! Jazda dalej!

L A W I N A

Druzgocąc się o skalną ścianę,
Potoki szumią, niosąc pianę,
I krążą orły rozkrzyczane
  I szlocha bór
I błyszczą, skryte mgieł tumanem,
  Wierzchołki gór.

Raz się lodowce stąd urwały,
Jak grzmot runęły ciężkie zwały,
I wąwóz ten — zlodowaciały
  Zagrodził śnieg
I wstrzymał huczny i wspaniały
  Tereka bieg.

I zamilkł ryk wzburzonej rzeki,
Lecz prące ztyłu fal szeregi
Przebiły gniewem mroźne śniegi,
  Tereku zły!
I wściekłe wody na twe brzegi
  Potopem szły.

Długo lodozwał na wybrzeżach
Nieroztopioną masą leżał
I rozjuszony Terek bieżał
  Przez mroźny spód
I szumem piennych fal uderzał
  W sklepiony lód.

Szeroki trakt wiódł po nim ongi,
Pędziły konie jak przez lądy,
Stepowy kupiec swe wielbłądy
  Prowadził na nim,
Gdzie dzisiaj, mknąc, sprawuje rządy
  Eol niebianin.



CZY PO ULICY BŁĄDZĘ SZUMNEJ...

Czy po ulicy błądzę szumnej,
Czy zwiedzam tłumny boży dom,
Czy śród młodzieży bezrozumnej,
Zawsze oddaję się mym snom.

I mówię: chyżo przemkną lata,
I choć dokoła tylu nas,
Zejdziemy wszyscy w mrok ze świata
I zawsze komuś w drogę czas.

Patrzę na dąb, zaszyty w knieję,
I myślę: patryarcha drzew,
Jak przetrwał ojców moich dzieje,
Mój zapomniany przetrwa wiek.

Niemowlę miłe gdy całuję,
Wnet myślę: żegnaj! czas mi w grób!
Swego ci miejsca ustępuję,
Dla ciebie rozkwit, a ja — trup.

Dzień każdy i godziny płonne
Zadumą żegnam w myślach swych,
Rocznicę śmierci nieuchronnej
Starając się odgadnąć w nich.

I gdzie mi los przeznaczy koniec?
W podróży, w bitwie, w głębi fal?
Czy prochy me wystygłe wchłonie
Sąsiedni zarośnięty jar?

I choć nieczującemu ciału
Jednaki każdy w ziemi schron,
To przecież spocząćby się chciało
Bliżej rodzimych, miłych stron.

A nad mym grobem niech odświętnie
Młodego życia kwitną dni
I niech natura obojętnie
Urodą nieśmiertelną lśni.



W JAŁOWEJ NUDZIE...

W jałowej nudzie, śród rozpusty,
Nieraz na lutni-m swej wydzwaniał
Czarowne dźwięki, dźwięki puste
Porywów, szału, próżnowania.

Ale i wtedy-m płochą strunę
Pokornie do milczenia zmuszał,
Gdy głos twój groźny, jak piorunem,
Raził mnie nagle i ogłuszał.

I płynął strumień łez rzęsisty,
Płacz słodki i niespodziewany,
Gdy słów twych wonnych olej czysty
Sumienia mego koił rany.

I dzisiaj do mnie rękę wierną
Wyciągasz z wysokości ducha,
I mocą twoją miłosierną
Snów bujnych cichnie zawierucha.

Gorejącego w twym płomieniu
Mrok uciech ziemskich zmóc nie zdoła
I drży w najświętszem przerażeniu,
Wsłuchany w harfę archanioła.

D O P O E T Y

Poeto! za nic miej pospólstwa wzgląd i łaski,
Zachwytów minie krzyk i chwały jednodniowej,
Usłyszysz głupca sąd, śmiech tłumu albo wrzaski,
Lecz ty, jak kamień, bądź spokojny i surowy.

Tyś król — pozostań sam. Nie chyląc dumnej głowy,
Wolności drogą idź za wolnej myśli blaskiem,
Owoce lubych dum w kształt doskonaląc nowy —
I wzniosły pełniąc trud, wzgardź laurem i oklaskiem.

Tyś sam nagrodą swą i dzieł najwyższym sądem,
Ty najsurowszym sam ocenisz je poglądem.
Czyś swoim dziełom rad, twórco z wejrzeniem srogiem?

Rad jesteś? Niech więc tłum znieważa je zawzięty,
Niech pluje w ołtarz twój, gdzie ogień płonie święty,
I niech uciechę ma, kołysząc twym trójnogiem.

M A D O N N A

Nie mnóstwem malowideł starej szkoły włoskiej
Chciałbym dom swój ozdobić, nie dla mistrzów
[sławnych,
Nie dla czci i podziwu tych znawców wytrawnych,
Co z oględzin uczone wyprowadzą wnioski.

W zacisznym moim kącie, śród zajęć niesprawnych,
Jeden obraz niech widzi trudy me i troski,
Ten jeden: oto z płótna, jak z obłoków jawnych,
Patrzy Przeczysta Panna i Zbawiciel Boski.

Ona — w całej swej krasie, on — mądrością wzroku,
We dwoje, bez aniołów, w świetlistym otoku,
Pod palmami Syjonu w chwale i pokorze.

I oto prośby mojej wysłuchano w niebie:
Madonno moja! Ciebie Bóg mi zesłał! Ciebie,
Przenajczystszego wdzięku przenajczystszy wzorze.

S O N E T

Scorn not the sonnet critic
W o r d s w o r t h

Surowy Dante go nie lekceważył,
Petrarka w sonet przelał serca żar,
Makbeta twórca igrał nim i gwarzył,
Camoens nim oblekał ból swych mar.

I dziś poeta go miłością darzy:
Wordsworth w sonecie swe uczucia zwarł,
Gdy o przyrodzie idealnej marzy,
Jałowy świata porzuciwszy gwar.

I piewca Litwy w jego rozmiar ścisły
Sny swe zamykał, gdy mu tylko błysły,
I tak taurydzkim górom składał dań.

U nas nie znały jeszcze go dziewoje,
Jak już mój Delwig zapominał dlań
Dostojnie brzmiące heksametry swoje.

B I E S Y

Pędzą chmury, walą chmury,
Niewidomie księżyc mży,
Na śnieg lotny prósząc z góry;
Mętne niebo, mętne mgły.
Jadę, jadę w dal bezbrzeżną,
Dzyń-dzyń-dzyń dzwoneczka dźwięk,
Strasznie, strasznie w tę noc śnieżną!
Rośnie pustka, rośnie lęk.

Jazda, stary! — „Dobrodzieju,
Konie ledwie zipią już,
Zamieć mi powieki skleja,
Drogi zmiotło, ani rusz.
Wokół mrok, choć wykol oczy;
Co tu robić? Będzie źle!
Bies nas, widać, w polu toczy
I kołuje nami w mgle.

Widzisz? Widzisz? W pustce białej
Wyje, wije się i plwa,
Teraz konie oszalałe
Prosto w otchłań jaru pcha.
Tutaj słupem niebywałym
Śmignął mi na jeden mig,
Tam świetlikiem błysnął małym
I we ćmie przepastnej znikł".

Pędzą chmury, walą chmury,
Niewidomie księżyc mży,
Na śnieg lotny prósząc z góry;
Mętne niebo, mętne mgły.

Znów od rowu do parowu,
Sił już braknie, dzwonek zmilkł,
Konie stoją... cóż tam znowu?
„Kto ich wie: czy pień czy wilk?"

Zamieć wyje, zamieć płacze,
Czujne konie, chrapią, rżą,
Teraz już daleko skacze,
Tylko ślepia błyskiem drżą.
Konie znowu się zerwały,
Dzyń-dzyń-dzyń śród śnieżnych wydm;
Widzę — na równinie białej
Zebrał się korowód widm.

Niezliczone, uprzykrzone,
W blasku mdłym miesięcznych mżeń,
Biesy kręcą się szalone,
Jako liście w słotny dzień.
Skąd ich tyle? Dokąd pędzą
Zawodzący straszną pieśń?
Czy to czart się żeni z jędzą?
Czy uboże zmarło gdzieś?

Pędzą chmury, walą chmury,
Niewidomie księżyc mży,
Na śnieg lotny prósząc z góry;
Mętne niebo, mętne mgły.
Pędzą biesy rój za rojem
W nieprzejrzany śnieżny dym,
Rozdzierając serce moje
Rozpaczliwym jękiem swym.

E L E G J A

Szalonych lat rozkosze i biesiady
Na duszy mej pijanym ciążą czadem.
Ale jak wino — smutek dawnych dni
Im starszy jest, tem mocniej szumi w krwi.
Przede mną mrok. Mozół i ból mi wróżą
Morza przyszłości, kołysane burzą.

Lecz ja umierać nie chcę, przyjaciele!
Chcę żyć, by myśleć! Żyć, by cierpieć wiele!
I wiem, że los rozkoszy mi użyczy
Śród niepokoju, troski i goryczy:
Da Bóg, że znów harmonią się upoję,
Obleję łzami miłe złudy swoje
I może nad zachodem mym fatalnym
Miłość uśmiechem błyśnie pożegnalnym.

OSTATNI RAZ...

Ostatni raz twą postać miłą
Ważę się myślą tulić dziś
I wskrzeszać sny serdeczną siłą,
Żałością tkliwą i wstydliwą
O twej miłości budzić myśl.

Mijają lata — i niestety
Zmieniają świat, zmieniają nas!
W mogilnym mroku, w głębi Lety
Widzi cię dzisiaj wzrok poety,
Lecz i poeta tobie zgasł.

Więc mego serca pożegnanie
Przyjmij, daleka! Czoło skłoń,
Jak żona, gdy się wdową stanie,
Jak wierny druh, co przed wygnaniem
Bez słowa ściska bratnią dłoń.

J E S I E Ń

Fragmenty

VII

Melancholijne dni! oczarowanie oczu!
Lubię przyrody pożegnalny strój,
Gdy się wspaniałe krasy jej roztoczą,
W purpurze, w złocie więdniesz, lesie mój...
W gałęziach wiatr i świeży dech w przeźroczu
I mgieł na niebie białopłynny zwój
I rzadki słońca blask i pierwszy podmuch mroźny
I oddalone Siwej Zimy groźby.

VIII

Co jesień — znów rozkwitam. Jestem zdrów,
Służy mi widać ruski klimat chłodny,
Małe narowy życia lubię znów,
Serjami śpię, serjami bywam głodny,
Radośnie krąży krew od stóp do głów,
Znów pełen życia jestem i pogodny.
Właściwość to mojego organizmu.
(Proszę wybaczyć mi ten wybryk prozaizmu).

IX

Na koń wskakuję. Polem i po łące,
Wstrząsając grzywą, gna. Też lubi chłód.
I dźwięcznie pod kopytem jego lśniącem
Przemarzła dudni gruda, trzeszczy lód.
Lecz gaśnie krótki dzień. I na miesiące
Kominek będzie buchać ogniem — lub
Tlić się powoli. Z książką przy nim siadam
Albo w zadumę nieskończoną wpadam.

X

Wtedy o świecie zapominam. Śnię,
Uśpiony słodkiem rozmarzeniem swojem.
Poezja we mnie budzi się i zwie,
Lirycznym dusza wzbiera niepokojem,
I drży i dźwięczy i już wreszcie chce
Wyrazić się, wytrysnąć żywym zdrojem.
I oto rojem niewidzialnych gości
Schodzą się dawne sny, marzenia mej młodości.

XI

Już prąd natchnienia śmiałe myśli niesie
I rymy lotne im naprzeciw mkną,
Palce do pióra, pióro pisać rwie się,
Za chwilę — wiersze świeżą trysną krwią;
Tak okręt śpi na gładkich wód bezkresie,
Wtem — hasło! i majtkowie już się pną
Po masztach; wiatry nadymają żagle,
I, prując fale, kolos ruszył nagle.

XII

Płynie. Nam dokąd płynąć?.....
— — — — — — —
— — — — — — —

MÓJ RODOWÓD

Pismaków naszych brać złośliwa,
Złączona w jeden zgodny chór,
Arystokratą mnie nazywa:
No proszę! Trzeba-ż większych bzdur?
Jam nie oficer, nie asesor,
Nie szlachcic, nie herbowy pan,
Nie akademik, nie profesor,
Rosyjski mieszczuch — to mój stan.

Rozumiem: to przewrotne czasy
Sprawiły u nas taki cud,
Że w świetnych rodach pierwszej klasy
Im nowszy — tem świetniejszy ród.
Ja zaś, zgrzybiałych rodów prawnuk,
(Nie jestem w tem nieszczęściu sam)
Szczątek bojarów starodawnych,
Drobnomieszczańską rangę mam.

Blinami dziad mój nie handlował
Ani się z chochłów w hrabie pchał,
Carowi butów nie smarował,
Ni jako djak nadworny piał.
Ani w peruce austryjackiej
Zwiał z wojska, pudrowany fryc!
Więc skąd mi do arystokracji?
Mieszczanin jestem, więcej nic.

Mój przodek Racza — ku obronie
Przy Świętym Newskim murem stał,
A Iwan IV, gniew w koronie,
Dla wnuków jego względy miał.

Nie jeden też z Puszkinów rodu
Z carami bywał zapanbrat,
Gdy ów mieszczanin z Niżniogrodu
Wadził się z Polską onych lat.

Gdy ścichły zdrady, bunt, kramoła
I bójki rozjątrzonych stron,
Gdy Romanowych lud przywołał
Hramotą swą na carski tron,
Za podpis — łaską nas obdarzył
Syn cierpiętnika, święty mąż.
Był czas, że ród mój wielce ważył,
Był czas... Lecz ja — mieszczanin wciąż.

Przekory duch w nas wszystkich broił.
Mój praszczur z Piotrem koty darł
(Bo krnąbrny był, jak wszyscy moi)
I za to go powiesił car.
Stąd morał płynie do nauki,
Że źle jest z władcą spory mieć.
Szczęściarz był Jakób Dołgoruki,
A ty, mieszczuchu, cicho siedź.

Kiedy bunt wybuchł w Peterhofie,
Wiernie, jak Minich, stał mój dziad
I wiernie trwał przy katastrofie,
Gdy trzeci Piotr ze stolca padł.
Orłowym wtedy dano chwałę,
A dziad? Do twierdzy poszedł dziad.
Ród mój spokorniał. I musiałem
Jako mieszczanin przyjść na świat.

Dziś pod pieczęcią mą herbową
Plik pergaminów został mi.
Ja się nie bratam z szlachtą nową
I uśmierzyłem pychę krwi.
Wierszopis jestem, biedaczyna,
Nie dworak, lecz uczony żak,
Poprostu — Puszkin, bez Musina,
Sam sobie pan: mieszczanin! tak!



GIAUROWIE STAMBUŁ DZISIAJ SŁAWIĄ...

Giaurowie Stambuł dzisiaj sławią,
A jutro — podkutemi pięty,
Jak żmiję śpiącą, zmiażdżą, zdławią
I pójdą precz — i tak zostawią:
Stambuł przed klęską śpi — wyklęty.

Już się Proroka wyrzekł Stambuł
I starą wiarę Wschodu wczambuł
Zamroczył w wiernych Zachód podły,
I dla upojeń grzesznych Stambuł
Zdradził i szablę swą i modły.
Stambuł od znoju odwykł bitwy
I wino pije do modlitwy.

Wygasł w nim płomień czystej wiary,
Niewiasty po bazarach brodzą,
Stambuł po uszy w grzechach tkwi.
W nim, pod przewodem baby starej,
Mężczyźni do haremów wchodzą,
A podkupiony eunuch śpi.

Nie taki jest Arzrum nasz stromy,
Górzysty, kręty nasz Arzrum.
Nie nęci przepych nas znikomy
Ani lubieżny pęd łakomy
Ni wina ognistego szum.

My — umartwiamy się. Ze zdroju
Czerpiemy trzeźwe, święte wody,
Dżygici nasi, wprawni w boju,
Z wichrem puszczają się w zawody.
Jak orły swoich żon strzeżemy
I niedostępne są haremy.

Wielki jest Allah! Ze Stambułu
Janczary zbiegłe do nas szły.
Grom straszny runął do aułów
I zgiął do ziemi nasze łby.
Od starej Smirny aż po Tulczę
Od Trapezundu po Ruszczuk,
Zwołując psy na tłustą ucztę,
Tłum katów się po miastach wlókł.

Trzeszczące groźnie od pożarów,
Domy waliły się janczarów,
Śród tlących wszędzie zgliszcz sterczały
Wieżyce ubroczone w krwi,
Co krok —to trup na palu tkwił,
Skręcony, czarny, zesztywniały...
Wielki jest Allah! Wtedy — gniew
Sułtańską rozpłomienił krew.

Z A K L Ę C I E

O, jeśli prawdą jest, że nocą,
Gdy żywych błogi sen ogarnie,
A blaski luny zamigocą
I płyty srebrzą się cmentarne;
Gdy prawdą jest, że trumien wieka
Wtedy podnoszą się w mogile,
Przyzywam luby cień, Leilę:
Przyjdź do mnie! zjaw się! czekam! czekam!

Maro miłości ukochana,
W dawnej postaci przyjdź cudownej,
Jak dzień zimowy nieskalana,
Zastygła w męce niewysłownej,
Lub jako gwiazda przyjdź daleka,
Jak lotny dźwięk, jak wiewu tchnienie,
Lub jak straszliwe przywidzenie,
Wszystko mi jedno! czekam! czekam!

Wołam cię nie dla złorzeczenia
Ludziom, co ciebie mi zabili,
Nie przeto, bym się z twego cienia
Mogilne tajnie poznać silił;
Ani przed męką nie uciekam
Sumienia — lecz powiedzieć chcę ci,
Że tęsknię, kocham bez pamięci,
Żem ciągle twój! I czekam! czekam!

WIERSZ NAPISANY W NOC BEZSENNĄ

Ciemno. Gdybym usnąć mógł!
Wokół senność dokuczliwa,
Tylko w mroku się odzywa
Wciąż ten sam zegara stuk.
Baby Parki bełkot zły,
Śpiącej nocy trwożne sny,
Życia bieganina mysia...
Czemu mnie tak trapisz dzisiaj,
Szepcie nudny, bałamutny?
Skarga to czy wyrzut smutny
Znów zmarnowanego dnia?
Co ty znaczysz? czego chcesz?
Czy co wróżysz, czy mnie zwiesz?
Chcę zrozumieć cię, odgadnąć,
Tajemnicą twą zawładnąć.

— — — — — — —



W ZARANIU ŻYCIA...

W zaraniu życia była, pomnę, szkoła,
Beztroskich dzieci snuły się postacie,
Rodzina różnoraka i wesoła.

Niewiasta skromna i w ubogiej szacie
Nad szkołą straż surową sprawowała,
Pokorna, cicha, ale w majestacie.

Dokoła niej gromada nasza cała
W skupieniu nieraz zbierze się — a ona
Czarownym głosem do nas przemawiała.

Widzę jak dziś: na czole jej zasłona.
Oczy jak niebo. Lecz nie dbałem wiele,
Jaka jest treść w jej słowach utajona.

Surowy spokój jej mnie onieśmielał,
Te jasne oczy, chłodne czoło, głos ten
I słowa, w które święty duch się wcielał.

Do serca mego trudny miały dostęp
Nauki jej. Opacznie rozumiałem
Wypowiadanych prawd znaczenie proste.

Więc potajemnie często uciekałem
W obcego parku głąb, pod sztuczne groty,
W nurty zieleni mroczne i wspaniałe.

Tam pod cieniste biegłem drzew namioty
I było lubo młode snuć marzenia
I puste myśli budzić i tęsknoty.

Posągi białe chłodny mrok ocieniał
I piętno smutku na ich czołach wyrył.
Kochałem te kamienne zamyślenia.

I wszystko — cyrkle marmurowe, liry
I w suchych rękach marmurowe zwoje,
Laury na głowach, Nimfy i Satyry —

Wszystko budziło w drżącem sercu mojem
Strach jakiś słodki. Patrząc na marmury,
Roniłem łzy, natchniony niepokojem.

Najbardziej dwie urzekły mnie figury
Urodą czarodziejską: podobizny
Dwuch biesów. Pierwszy, gniewny i ponury

Delficki bożek, postać miał mężczyzny,
Był młody, pełen przeraźliwej pychy;
Potęgą tchnął nieziemskiej swej ojczyzny.

Drugi — lubieżny, zniewieściały, cichy,
Ideał złudny, kłamstwa omamienie,
Demon uroczo piękny, ale lichy.

O, jak mi serce tłukło! Z jakiem drżeniem
Przed nimi stałem, siebie już niepomny,
Gdy włosy mi jeżyło przerażenie!

Głód ciemny szarpał wnętrze, głód ogromny
Rozkoszy tajnych. Smutny, osowiały
Błąkałem się śród chłopców jak bezdomny.

I na nic była młodość. Przez dzień cały
Białe posągi parku ponurego
Na duszę mą posępny cień rzucały.

B O H A T E R

Co jest prawda?

PRZYJACIEL

Tak, sława bardzo jest kapryśna.
Pędzi, jak język ognia zwinny,
Z głowy na głowę. Jeden dziś ma
Płomień nad czołem, jutro inny
Wybraniec losu. Czerń bezmyślna
Za nowinkami gna wesoło,
Jako przystało na tę zgraję,
A nam świętością już się staje
Każde w płomieniach sławy czoło.
Na tronie i na krwawym szańcu
I z ludzi, co śród pierwszych stoją,
Kto, powiedz, który z tych wybrańców
Najsilniej włada duszą twoją?

POETA

Wciąż on i on, ów przybysz zbrojny,
Przez wolność ukoronowany,
Żołnierz, co królów upokorzył
I znikł, jak znika poblask zorzy.

PRZYJACIEL

A jego gwiazdy czarodziejskiej
Kiedy ci błysnął blask najrzadszy?
Czy wówczas, kiedy z gór alpejskich
Na dno Italii świętej patrzy?
Czy, kiedy sztandar chwyta dumny

Lub berło dyktatora, czy też
Gdy wkrąg i wdal, zwycięski rycerz,
Wodzi płomieniem wojen szumnym?
Czy w dzień, gdy bohatera hufce
Falują pod piramid cieniem,
Czy wtedy, gdy, jaśniejąc w pustce,
Moskwa przyjęła go — milczeniem?

POETA

Nie! Widzę go nie w pysznej chwale,
Nie w boju i na szczęścia łonie,
To nie Cezara zięć na tronie
I nie ten, który na swej skale
Siadł, bezczynnością umęczony,
Nazwą „bohater" ośmieszony,
I nieruchomy, niepotrzebny,
Gasł otulony w płaszcz bitewny.
Nie! Ja o innym snuję dumy!
Szpitalne nosze widzę w rzędzie
I trupy, żywe trupy wszędzie,
Napiętnowane grozą dżumy,
Królowej chorób. On — śród śmierci,
Lecz nie tej z pobojowisk, chodzi
I dżumie dłoń spokojnie ściska,
I oto w konającej piersi
Otuchę tym uściskiem rodzi.
Na niebo klnę się, że kto zbliska
Igra ze śmiercią, gardząc życiem,
By konającym dodać ducha,
Ten sobie łaskę niebios zyska,
Cokolwiek o tem sądzi głucha
I ślepa ziemia...

PRZYJACIEL

O, marzenia!

Rozprasza was historyk ścisły!
Odezwał się * — i złudy prysły
I świata czar się w prozę zmienia.

POETA

Przekleństwo prawdzie, gdy nikczemnej
Miernocie służy, zawiść łechce!
Gdy przeciętności złej, przyziemnej
Dogadza! Takiej prawdy nie chcę!
Precz z mrokiem niskich prawd! Wybieram
Kłamstwo, co wznosi nas, choć mami...
Pozostaw serca bohaterom!
Bez serc — czym będą? Tyranami...

PRZYJACIEL

Pociesz się...

Moskwa, 29 września 1830 r.

* Mémoires de Bourrienne.

Z „UCZTY PODCZAS DŻUMY"

Gdy Zima, bohaterska dama,
Jak rzeźki wódz, prowadzi sama
Kosmatą armję swą złowieszczą
I mroźna huczy zawierucha, —
Naodsiecz drwa w kominkach trzeszczą
I uczt zimowy żar wybucha.

A teraz Dżuma, groźna dama,
Zastępy swe prowadzi sama,
Zdobyczą pysząc się bogatą.
Do okien naszych w dzień i w nocy
Stuka mogilną swą łopatą.
Gdzież szukać przeciw niej pomocy?

Przed Dżumą, jak przed plagą zimy,
Na cztery spusty się zamknijmy,
Niech pełna czara krąży wkoło,
Utońmy w pijanym bezrozumie,
I pijatyką, na wesoło,
Oddajmy cześć i chwałę Dżumie.

Jest upojenie w boju, jest na
Brzegu przepaści mrocznej bez dna
I w rozwścieczonym oceanie,
Gdy w burzy wrą odmętów szumy,
I w afrykańskim huraganie
I w śmiercionośnem tchnieniu Dżumy.

Wszystko, czem grozi moc straszliwa,
Dla śmiertelnego serca skrywa
Rozkosze niepojęte! Może
Nieśmiertelności obietnicę!
Szczęśliwy, kto w przerażeń porze
Poznawać mógł ich tajemnice!

Więc sławmy Dżumę! chwała Dżumie!
Nas nie przestraszą mroki trumien,
Na śmierci zew — nie chwyci drżenie.
W puharach niechaj wino szumi,
Dziewicy-róży chłońmy tchnienie,
Już może — — pełne groźnej Dżumy.



E C H O

Czy w głuchym lesie ryczy tur,
Czy grzmot czy trąbka gra przez bór,
Czy pieśń dziewczyny brzmi z za gór,
        Na każdy dźwięk
W powietrzu pustem budzisz wtór,
        Odgłosu jęk.

Piorunów słuchasz, huku wód,
I jak na rzece pęka lód,
I krzyku z łąk pasterzy trzód,
        Odpowiedź ślesz na każdy głos,
Samo — bez echa. Twój to trud
        I twój, poeto, los.

OSZCZERCOM ROSJI

O co ten krzyk, trybuni ludu? Czemu
Grozicie Rosji anatemą?
Co tak wzburzyło was? Litewski bunt i kaźń?
To słowian spór, rodzinny spór domowy,
Nie rozwiążecie go krasomówczemi słowy.
Przesądził dawno los tę naszą starą waśń.

Już wieki oba te plemiona
Wzajemnym gniewem czoła chmurzą,
Nie raz to ich to nasza strona
Musiała ugiąć się pod burzą.
Kto w tym nierównym wytrwa sporze:
Czy dufny Lach czy wierny Ross?
Czy się słowiańskie rzeki w rosyjskie wleją morze?
Czy ono wyschnie? Kto powiedzieć może?

Zostawcie nas, wy, co nie znacie
Tych zakrwawionych kart dziejowych.
Obca wam jest ta kłótnia braci,
Ten niepojęty spór domowy.
Gdy Kreml, gdy Praga się odzywa,
Wy — nie słyszycie,
Ale bezmyślnie was porywa
Odwaga walki rozpaczliwa,
Wy nas — nienawidzicie!

Za co? Czy za to, że na zgliszczach
Płonącej Moskwy, pod przemocą,
My nie uznaliśmy zuchwalca i bożyszcza,
Pod którym legliście, dygocąc?

Czy za to, że w przepaści głąb
Strąciliśmy bożyszcze ono,
Ciążące państwom zmorą złą,
I okupili własną krwią
Europy wolność — pokój — honor?

Groźniście w słowach! Lecz spróbujcie czynu!
Czy się nie zerwie z łoża nasz stary wódz na bój?
Czy mu nie starczy sił, by znów do karabinu
Przykręcić bagnet izmailski swój?
Czy rosyjskiego cara już nic nie znaczy głos?
Czy nam z Europą wadzić się pierwszyzna?
Czy od zwycięstwa odwykł Ross?
Może nas mało? Mała ta ojczyzna?

Zali od Permu do Taurydy,
Od chłodnych fińskich skał
Po skwarny brzeg Kolchidy,
Od wstrząśniętego Kremlu wrót
Po Chin znieruchomiałych ściany,
Stalową szczecią rozbłyskany
Nie dźwignie się rosyjski lud?
Więc nam wyślijcie, krasomówce,
Swych rozjątrzonych synów hufce,
Na polach Rosji dość jest miejsca dla nich
Pośród nieobcych im mogilnych grud.

GDY W UŚCISK WIOTKĄ KIBIĆ TWĄ...

Gdy w uścisk wiotką kibić twą
Oplotem zamknę — i upojnie
Z zachwytu i rozkoszy drżąc,
Słowa miłości sypię hojnie,
Ty — od uścisku ramion mych
Milcząc uwalniasz się i słaniasz
I odpowiadasz wzamian mi
Uśmiechem... lecz niedowierzania.
Żałosne dzieje dawnych zdrad
W pamięci przechowując skrzętnie,
Słów moich słuchasz obojętnie
I osowiała patrzysz w świat.
Przeklinam grzeszną młodą krew,
Przemyślne dawnych lat zabiegi
I tajne schadzki i przeszpiegi
W ogrodach, nocą, w mroku drzew,
I szepty słodkie i szalone
I wierszy melodyjny wiew,
Pieszczoty łatwowiernych dziew
I łzy i skargi ich spóźnione.

H U Z A R

Szorował zgrzebłem koński grzbiet
I klął siarczyście, gniewem zionął:
„Nadaliż djabli, żem tu wszedł
Na tę kwaterę zatraconą!

Tu o człowieka nie dba nikt;
Z Turkami raczej brać się za łby!
Kapucha postna — cały wikt,
A wódki — czart ci prędzej dałby.

Spodełba patrzy chłop, jak zwierz,
A gdy zdobędziesz się na kuraż
I od gosposi czego chcesz,
Prośbą ni groźbą nic nie wskórasz.

O — Kijów, widzisz, to ci kraj!
Samo się jadło do ust pcha tam!
Wódki jak lodu! W to mi graj!
A mołodycie! a diwczata!

Bodajby zginąć — takie śle
Spojrzeniem czarnobrewka czary!
I tylko z jednem, z jednem źle..."
— A niby z czem? powiedzcie, stary.

Pokręcił wąsa... „Ano cóż...
Żeby ci całą prawdę wyznać,
Durnyś ty, chłopcze, choć nie tchórz,
A mnie to, widzisz, nie pierwszyzna.

Więc słuchaj. Pułk nad Dnieprem stał.
Gosposia — baba dobra, zdrowa
I chętna, gdybyś czego chciał,
A chłop jej zmarł, uważasz. Wdowa.

Więc przyjaźń. Dobra! Przyjaźń trwa,
Żyjemy zgodnie i pomyślnie.
Wytłukę — nic. Marusia ma
I złego słówka mi nie piśnie.

Jak sobie czasem golnę zbyt,
Ułoży, da na wytrzeźwienie;
Mrugnę, bywało: kumo, psst!
Kuma i owszem, z przeproszeniem.

Zdawałoby się (dobrze zważ):
Żyć nie umierać przy Marusi.
A nie! Ja — w zazdrość! No i masz!
Co robić? Zły mnie, widać, skusił.

Bo tak miarkuję: poco ma
Wstawać przed świtem? kto ją prosi?
Oj, broi coś Marusia ma!
Kędy ją czart po nocach nosi?

Zaczynam baczyć. Aż tu raz
Leżę, lecz nie śpię, oczy mrużę
(A noc — jak turma! Straszny czas!
Dmie wiatr i miało się na burzę).

Wtem słyszę: kuma z pieca hyc,
Cichutko stąpa, staje, słucha,
Coś przy mnie maca. A ja nic.
Przy piecu siada, w węgiel dmucha.

Zapala świeczkę, czuję swąd.
Przez izbę idzie w bladem świetle,
Na palcach, cicho... Nagle — w kąt,
Gdzie półka z flaszką, tuż przy mietle.

Upiła z flaszki tęgi haust
I tak jak była, nagusieńka,
Okrakiem na miotlisko szast
I w komin moja Marusieńka.

Ehe! powiadam, więc to tak?
No, to już teraz mamy ptaszka!
To z kumy — bisurmański ptak!...
Złażę-ci z pieca, patrzę: flaszka.

Powącham: kwaśne. Zacznę lać
Na ziemię — dziwy! Co za heca?
Skoczyło wiadro, potem kadź,
Jak oparzone — i do pieca.

O, myślę, kiepsko. Patrzę — kot
Pod ławką drzemie. Więc ja po nim
Plusk, prask! Zaparskał się — i wlot,
Jak kadź i wiadro, prosto w komin.

Więc jak nie zacznę wgórę, wdół,
Naoślep czarcim lać ukropem,
Aż wszystko — garnki, ławka, stół —
Marsz! marsz! do pieca mknie galopem.

Ki djabeł! myślę. To my też
Spróbujmy. No i do dna flaszę!
Wierzysz, nie wierzysz — jak tam chcesz —
A pofrunąłem jak to ptaszę.

Lecę ja, mknę od piórka lżej,
A dokąd — nie wiem, nie wybadam.
Gwiazdkom po drodze krzyczę: Hej,
Ksobie! — i wtem na ziemię spadam.

Spoglądam: góra. Kocioł wre,
Śpiewają, grają, bluźnią głośno,
Kwiczą, w plugawą wdani grę:
Żyda z ropuchą żenią sprośną.

Tfu! spluwam, i chcę krzyknąć, że...
Wtem — kto? — Marusia! Jak nie wrzaśnie:
„Do domu! Kto cię prosił, kpie?
Zjedzą cię tutaj!“ A ja: „Właśnie!

Do domu! Lecz którędy? gdzie?“
A ona: „Widział kto pokrakę?!
Wynocha! Już poniesie cię,
Na ożóg tylko siądź okrakiem!“

„Co? Ja na ożóg żebym siadł?
Przysięgły huzar? Ty psia dziuro!
Czy to ja z djabłem zapanbrat,
Czy ty go raczej masz pod skórą?

Konia!“ — „Masz, durniu, konia!“ Trach!!
I stoi rumak nad rumaki:
Kopytem grzebie, cały w skrach,
Grzywa — wodospad, ogon — taki!

„Wsiadaj!“ Więc wsiadam. Uzda gdzie?
A uzdy niema. I wtem — lecę,
Pędzę jak wiatr! Tak poniósł mnie!
I nagle znowuśmy pod piecem.

Ta sama izba. W izbie — ja,
Wierzchem... na ławie, co się kiwa.
A już na niebie kawał dnia...
I koniec. Tak to, bracie, bywa".

Pokręcił wąsa... „Ano cóż?
Żeby ci całą prawdę wyznać,
Durnyś ty, chłopcze, choć nie tchórz,
A mnie to, widzisz, nie pierwszyzna".



Z „JEŹDŹCA MIEDZIANEGO“

Wstęp

Na brzegu, nad pustkowiem fal,
Stał ON — i z wielką patrzał w dal
Zadumą. Przed nim — toń rozległa
Spienionej rzeki. Nędzna łódź
Samotnie z prądem nurtu biegła,
A na wybrzeża grząskim mchu
Czerniły się i tam i tu
Chaty — ubogi schron Czuchońca,
I wkrąg posępnie szumiał mu
Las, który nie znał blasków słońca,
Skrytego w mgle.

I dumał on:
„Będziemy grozić stąd Szwedowi,
Tu stanie miasto, stanie tron
Na złość dufnemu sąsiadowi.
Naturą nam sądzono stąd
Wyrąbać okno na Europę,
Przy morzu twardo stawić stopę.
Niech tu poznawać nowy ląd
Zjeżdżają wszystkie flagi w gości!
Zahulać nam tu na wolności!“

Sto lat minęło. Młody gród,
Północnych krain dziw i chwała,
Z bajorów leśnych, z mroku wód,
Jako stolica wzrósł wspaniała.
Gdzie dawniej rybak, finn ponury,
Na niskim brzegu siadał sam

I, smutny pasierb złej natury,
Sieć lichą w toń zarzucał — tam
Na gwarnych, ożywionych brzegach
Dziś w świetnych tłoczą się szeregach
Pałace smukłe, domy, baszty,
I tłumnie z wszystkich krańców ziemi
Do portów zawijają maszty.
Newę granitu odział zrąb
I mosty osiodłały wody,
Cienista jest na wyspach głąb,
Ciemnozielone są ogrody.
I oto przed stolicą nową
Prastarej Moskwy splendor zgasł,
Jako przed młodą cesarzową
Imperatrycy-wdowy blask.

Kocham cię, grodzie mój Piotrowy:
Twych zwartych kształtów kocham ład,
Prąd Newy władny i surowy,
Nadbrzeżny granit, wzory krat
Na ogrodzeniach metalowych,
Twych zadumanych nocy dym
Przeźroczy, blask bezksiężycowy,
Kiedy w pokoju siedzę swym,
Bez lampy nocą czytam, piszę,
Śród jasnej pustki nie drgnie nic,
I lśni nad śpiących ulic ciszą
Admiralickiej igły szpic.
I mrokom nocy wstępu broniąc
Na złoty strop nowego dnia,
Jutrznia, na zmianę zorzy goniąc,
Dla nocy pół godziny ma.
Kocham twej zimy ostre wiewy,
Siarczysty mróz, stężały dech,
Pęd sanek wzdłuż szerokiej Newy,
Rumianych z mrozu dziewcząt śmiech,

I balów blask i uczt rozgwary
I kawalerskich bibek tłok
I pienny syk perlistej czary
I pełgający ogniem grog.
Kocham Marsowych Pól paradę
I dziarskich wojsk bojowych krok,
Piechoty marsz, konnicy skok,
Powabnej jednostajnym ładem.
W szeregów falujących rytmach
Sztandarów strzępy, chwały blask,
Gdy miedzią lśni przy kasku kask,
Nawylot przestrzelony w bitwach.
Kocham, stolico wojsk i tronu,
Twych armat w twierdzy dym i grom,
Kiedy władczyni Septentrjonu
Obdarza synem carski dom,
Lub kiedy tryumf nowy grzmi,
Gdy Ruś zwycięstwa święci gody,
Lub rozsadziwszy sine lody
Ku morzom Newa gna swe wody,
Hucząc, wiosenne wita dni!

Niech wiecznie trwa majestat twój
I chwała, o Piotrowy Grodzie!
Jak Rosja, niewzruszenie stój,
Z żywiołem poskromionym w zgodzie!
Pradawną waśń i walki znój
Niechaj zapomną fińskie fale
I niech nie trwożą w płonnym szale
Wiecznego snu Imperatora...

Okrutna, straszna była pora...
Mam o niej z wspomnień świeżych wieści. —
I o niej dla was, przyjaciele,
Snuć zacznę wątek opowieści.
Będzie w tych dziejach smutku wiele.

— — — — — — — — —
W one dnie
Car zgasły Rosją rządził jeszcze.
Na balkon z zasępionem czołem
Wyszedł i rzekł: „Nie w carów mocy
Z bożym uporać się żywiołem“.
A potem siadł i klęsce w oczy
Patrzał boleśnie. Rynki stały
Jako jeziora. Żywioł ciekł
I korytami wartkich rzek
Ulice w rynki się wlewały,
A carski pałac osowiały
Był smutną wyspą.
Cesarz rzekł
I na ten rozkaz w jednej chwili
Na wszystkie strony miasta, śród
Odmętu szalejących wód,
Generałowie wyruszyli
Ratować przerażony lud.
Wtedy to właśnie na Piotrowym
Placu, przy rogu, gdzie dom nowy,
Gdzie na wysokim ganku, wzwyż
Podniósłszy łapy, jeżąc grzywę,
Dwa lwy sprawują straż, jak żywe,
Bez czapki, drętwo, ręce wkrzyż,
Na marmurowym grzbiecie lwim,
Okrakiem siedział, strasznie blady,
Eugenjusz. Strach dygotał w nim,
Strach nie o siebie. Ani słyszał,
Jak pod nim żywioł chciwy dyszał,

Jak się podnoszą fal gromady
I liże stopy jęzor wód,
Jak deszcz go prosto w oczy chlastał,
A wicher dziko wył, urastał
I nagle czapkę z głowy zmiótł!
Wzrok przerażony, osłupiały
Wbił w jeden punkt. Jak groźne skały
Z topieli rozchełstanej, grzmiąc,
Wstawały fale w furji żądz!
Tam burza wyła, wir głęboki
Niósł jakieś szczątki. Boże! Ach,
To tam!... bliziutko, o trzy kroki
Od rozjątrzonych fal zatoki,
Płot, wierzba stara, niski dach,
Zmurszały domek. Mieszka w nim
Wdowa i córka. Ach, Parasza!
Jego Parasza! Czy on śni?
Czy cała rzeczywistość nasza,
Wszystko, co mamy w życiu tem
Igraszką losu jest i snem?
I nasz bohater, jak zaklęty,
Jak do marmuru przyrośnięty,
Nie może zejść. A dookoła
Woda i nic prócz wody zgoła,
I obrócony tyłem doń,
Potężny, z wyciągniętą dłonią,
Nad zbuntowanej Newy tonią
Wysoko wspięty — stoi ON:
Bożyszcze na spiżowym koniu.

— — — — — — — — —

Kiedyś spał
Na brzegu, gdy już ku jesieni
Chyliły się dni lata. Wiał
Wiatr ciemny, deszcz ponury lał,
I fale, skarżąc się okropnie,
Pluskały, biły w gładkie stopnie,
Jak tylkoby skazaniec mógł
Bić czołem w srogich sędziów próg.
Obudził się. Deszcz, mrok dokoła,
Szaruga ciemna, pustka dzika;
Wicher na pomoc kogoś woła
I słychać odzew wartownika.
Zerwał się biedak. Strasznym snem
Stanęła zgroza przed oczyma.
Wstał przerażony. Poszedł. Wtem
Przed wielkim domem się zatrzymał,
Gdzie na wysokim ganku, wzwyż
Podniósłszy łapy, jeżąc grzywę,
Na straży stoją lwy, jak żywe,
A dalej skała, czarny spiż:
ON — mocarz z wyciągniętą dłonią,
Bożyszcze na spiżowym koniu.
Eugenjusz drgnął. Odkrywcze światło
Błysnęło. Znów przed sobą miał
To miejsce, kędy potop grzmiał,
Gdzie tłukł się fal drapieżnych natłok,
Pieniąc i pnąc się wokół niego.
I poznał lwy i plac i Tego,
Co głową wznosił się miedzianą
I w mroku nieruchomo trwał,
Fatalną wolą rozkaz dał,

By tutaj miasto zbudowano...
Straszliwy jest, wpatrzony w mrok!
Jaka zaduma! Co za wzrok!
Jaka potęga w nim ukryta,
A w dumnym koniu jaki pęd!
Dokąd ty, koniu, gnasz bez pęt
I gdzie opuścisz swe kopyta?
O, władco losów wszechmogący!
Czyż nie tak samo twoja dłoń,
Wzniesiona nad otchłanią pustą,
Szarpnęła Rosję twardą uzdą,
Że dęba wspięła się jak koń?
Biedny szaleniec obszedł wokół
Pomnika ogrodzony cokół,
Czoło do chłodnych przywarł krat
I wbił zuchwale wzrok szyderczy
W oblicze groźne świato-dzierżcy
I ciężar mu na piersi padł.
Mgłą zaszły oczy. Strach go zmrowił.
Zawrzała ogniem w sercu krew
I oto wzbiera głuchy gniew
Przeciw dumnemu kolosowi.
Ścisnąwszy pięści, tłumiąc łzy,
Jak czarną mocą opętany,
„Cóż, budowniku mój miedziany?
Cóż, cudotwórco?“ — syknął zły.
„Już ja cię“... I jak oszalały
Przed siebie pobiegł lotem strzały,
I zdało się, że Groźny Car
Zapłonął gniewem, wzrok weń wparł,
I oczy, miotające żar,
Wolniutko za nim spoglądały.
Eugenjusz biegnie — dudni bruk,
Słyszy za sobą ciężki stuk,

Jak grzechot gromu groźnie grzmiący:
Galopem dźwięcznym cwałujący
Stalowy tętent końskich nóg.
I w bladym blasku ukąpany,
Wysoko wyciągając dłoń,
ON, Jeździec goni go Miedziany,
I dźwięcznie w bruk łomoce koń.
I wszędzie, dokąd, obłąkany,
Uciekał, gnany zmorą trwóg,
Tam Jeździec ścigał go Miedziany,
I ciężko dudnił kopyt stuk.

O, BOŻE NIE DAJ MI ZWARJOWAĆ...

O, Boże, nie daj mi zwarjować!
Głodować raczej i wędrować
Z żebraczym kijem będę.
Nic przeto, bym swój rozum cenił,
Że chcę zachować go, że chcę nim
Górować nad obłędem.

Gdyby mi wolność zostawili,
O, jakbym puścił się, bez chwili
Namysłu, w borów gęstwę,
W płomiennem trwałbym zamroczeniu,
Śpiewał w rozkosznem zapomnieniu,
W bezładnych snów szaleństwie!

I zasłuchany w szumy morza,
I zapatrzony w dal, w przestworza,
W niebiański strop gorący,
Czułbym, że rośnie siła, wola,
Jak wicher, tratujący pola
I lasy druzgocący.

Lecz bieda w tem, że przed warjatem,
Jak przed straszliwym trędowatym,
Drżeć będą, wsadzą w klatkę,
Zakują głupka w ciężki łańcuch
I zaczną, niczem psa w kagańcu,
Przedrzeźniać cię przez kratkę.

A w ciemną, smutną noc usłyszę
Nie świst słowika, tnący ciszę,
Nie szumne pieśni lasów,
Lecz towarzyszy jęk przewlekły,
Dozorców nocnych groźby wściekłe
I wrzask i zgrzyt zawiasów.

Był tu śród nas,
Pośród obcego mu plemienia. W duszy
Nie żywił dla nas nienawiści. Myśmy
Też go kochali. Cichy, dobrotliwy,
Był uczestnikiem biesiad naszych. Z nim
Dzieliliśmy się i marzeniem czystem
I pieśnią. (Był natchniony łaską niebios,
Zwysoka więc na świat spoglądał). Często
Mówił o przyszłych czasach, gdy narody
Zapomną waśni — i w rodzinę wielką
Połączą się. Słuchaliśmy poety
Z zapartym tchem.
Opuścił potem nas,
Na zachód odszedł — i błogosławieństwem
Żegnaliśmy go. Ale gość nasz cichy
Teraz nam wrogiem stał się, co trucizną
Przepaja wiersze swoje, na uciechę
Bujnej gawiedzi. Zdala nas dochodzi
Poety głos, wezbrany nienawiścią,
Znajomy głos!... O, Boże! Prawdą swoją
Oraz pokojem oświeć serce w nim
I przywróć mu — — — —

Z ANAKREONTA

Poznać konia chodziwego,
Gdy mu piętna wpalą w boki,
Poznać Parta chełpliwego
Po kołpaku zbyt wysokim.
Ja — kochanka szczęśliwego
Poznam, ledwo rzucę okiem:
W jego oczach mgławy płomień,
Znak nieskromnych oszołomień.

WŁADZA ŚWIECKA

Gdy wypełniła się tragedja objawiona
I umęczony Bóg na krzyżu za nas skonał,
Wtedy pod życiodajnem drzewem, wiecznie żywem,
Dzierżyły smutną straż dwie żony boleściwe:
Grzesznica Marja z Przenajświętszą Panną,
Męką trapione otchłanną.
Dzisiaj pod krzyżem, ducha w nas żywiącym,
Jak przed pałacem świetnym wielkorządcy,
Widać stojących groźnie z obu stron
Dwóch wartowników zamiast świętych żon.
Na co, powiedzcie, kaski, karabiny, straże?
Czy Bóg na krzyżu jest rządowym inwentarzem?
Złodziei się boicie? Myszy? Czy też chcecie
Majestat króla królów zbroją podnieść w świecie?
Czy opiekuńczą władzą staje rząd w obronie
Umęczonego władcy w cierniowej koronie,
Chrystusa, co w pokorze na rany najkrwawsze
Oddał ciało pod bicze i włócznie oprawcze?
A może się boicie, że znieważy tłuszcza
Tego, co śmiercią swoją grzechy wam odpuszcza,
I przeto, by bezpieczniej było jaśniepanom,
Ludowi pod krzyż pański chodzić zakazano?

GDY SIĘ Z JUDASZEM GAŁĄŹ OBERWAŁA SUCHA...

Gdy się z Judaszem gałąź oberwała sucha,
Przyleciał bies i w zdrajcę tchnął nanowo ducha,
A potem ze smrodliwą swą zdobyczą wzniósł się
I żyjącego trupa w piekieł pchnął czeluście.
Tam, ku uciesze sfory, piszczącej zajadle,
Wszechwróg stworzenia dostał się na rogi djable,
Aż przed obliczem władcy przeklętego stanął;
I wtedy Szatan wstał i z twarzą roześmianą
Wycisnął, przepalając je nawskroś, całusa
Na ustach, co w noc zdrady dotknęły Chrystusa.



NIE CENIĘ ZBYTNIO PRAW...

Nie cenię zbytnio praw, głoszonych w gromkiem słowie,
Od których się w niejednej przewróciło głowie,
Ani nie skarżę się, że mnie możności błogiej
Walczenia z podatkami pozbawiły bogi,
Lub z wojną, prowadzoną przez królewskie mości;
I mało dbam, czy prasa dosyć ma wolności
W tumanieniu bęcwałów; albo, że cenzura
Powściągnie gadatliwość piszącego gbura.
Są to, proszę was, wszystko *słowa, słowa, słowa.*
Innej, lepszej wolności, niż swoboda owa,
I praw innych pożądam dla swojego trudu.
Być zawisłym od władzy, zawisłym od ludu —
Czyż nam nie wszystko jedno? Niech ich bogi strzegą.
Lecz nie mieć sędziów innych, prócz siebie samego,
Sobie tylko dogadzać, dla władzy i darów
Nie naginać sumienia, karku ni zamiarów,
Włóczyć się, ile dusza zapragnie, beztrosko,
Podziwiając w naturze urodę jej boską,
A przed dziełami sztuki, dziełami natchnienia
Drżeć radośnie z zachwytu, czułości, wzruszenia
— To szczęście! to są prawa — —

P O M N I K

Exegi monumentum...

Dźwignąłem pomnik swój, nie trudem rąk ciosany,
Wydepcą ścieżki doń miljony ludzkich stóp,
Łeb buntowniczy wzniósł i wyżej w chwale stanął,
Niż Aleksandra pyszny słup.

Nie wszystek umrę, nie! Duch, w lutnię wklęty, przecie
Znikomy przetrwa proch, nie będzie w ziemi gnił,
I w sławę będę rósł, póki w podgwiezdnym świecie
Choć jeden pieśniarz będzie żył.

Słuch o mnie pójdzie w dal przez całą Ruś w języki
I nazwie imię me jej każdy lud: i finn
I dumny słowian wnuk i tunguz, jeszcze dziki,
I kałmuk, wolny stepów syn.

I naród w sercu mnie po wieczny czas utwierdzi
Za to, żem lutnią w swój nielitościwy wiek
Wysławiać wolność śmiał i wzywał miłosierdzia
I szlachetności uczuć strzegł.

Posłusznie, muzo, czyń, co boży duch rozkaże,
Niech cię nie nęci laur, nie straszy obelg chór,
Jednaką miarą mierz pochwały i potwarze
I z głupcem się nie wdawaj w spór.

E P I G R A M Y

O MUZO GNIEWU

O, muzo gniewu i satyry,
Przyjdź na mój zew — i tnij! i ćwicz!
Nie trzeba mi dźwięczącej liry,
Juwenalowy daj mi bicz!
Nie na tłumaczów z głodu skisłych
I naśladowców zimnokrwistych,
Nie na wytwornych piewców dam
Przygotowane żądło mam.
Pokój wam, durnie nieszczęśliwi,
Pokój, pokorne pisarczyki!
Lecz w a s zamęczę, łotry z kliki,
Wezmę na wstyd, jak na tortury,
Gdybym zapomniał zaś o którym,
To przypomnijcie mi, panowie!
Ile bezwstydnych czół miedzianych,
Ile pobladłych twarzy znanych,
Piętnem niestartej hańby, szuje,
Na wieki dziś przypieczętuję!

S Z A R A Ń C Z A

Szarańcza
Leciała, leciała
I siadła.
Siedziała, siedziała,
Wszystko zjadła
I znowu poleciała.

NA HR. M. S. WORONCOWA

Oto pół-nieuk, pół-bohater
I pół-szubrawiec na dodatek!
Lecz co do tego — jest nadzieja,
Że będzie całym naostatek.

Z O I L

Bandyta z dziennikarskich mętów,
Nasenny Zoil, znany z tego,
Że opjum swego atramentu
Rozcieńcza śliną psa wściekłego.

DO PRZYJACIÓŁ

Wrogowie moi! dotąd cicho siedzę...
I, jak się zdaje, gniew mój bystry zgasł.
Lecz pamiętajcie: mam na oku was,
Upatrzę sobie kogo — i nawiedzę.
Nie ujdzie żaden szponów mych karzących,
Gdy nagle spadnę bezlitosny, mściwy!
Tak pod chmurami krąży jastrząb chciwy,
Na gęsi i indyki czyhający.

KOPCI KOPCI ŁOJÓWKA

— Co? kopci wciąż łojówka dziennikarska?
— A żyje pismak! głupi, nudny, ciemny,
W zawiści wije się i śliną wokół parska,
Co może, pcha do szmaty swej nikczemnej:
Bzdurne nowiny albo bzdury stare.
Tfu! zbrzydła mi łojówka dziennikarska!
Jak ten cuchnący zgasić mam ogarek?
Jak go wykończyć? bo mam zamiar właśnie.
Poradź mi! — Cóż, poprostu pluń, to zgaśnie.

E X U N G U E L E O N E M

Niedawnom sobie w wierszu użył zdrowo
I bez podpisu go puściłem w piśmie.
Aż tu mi błazen dziennikarski świśnie
Feljeton o nim — też anonimowo.
Lecz cóż? Ni ja ni ten jarmarczny błazen,
Nikt z nas nie ukrył, żeśmy nabroili:
On po pazurach poznał mnie odrazu,
Ja jego zaś po uszach w jednej chwili.

O co się troskasz, prozaiku?
Daj myśl! Już mam ją na języku.
Z końca naostrzę ją, jak grot,
Opierzę w rym, nim puszczę w lot,
O prężną ją cięciwę oprę,
W pałąk posłuszny zegnę łuk,
A gdy już poślę — to nadobre,
Że spyszna będzie miał się wróg!

SŁOWIK I KUKUŁKA

W lasach, śród mroku płochej nocy,
Trubadur wiosny wielogłosy
Gwiżdże, turkocze, kląska, zwie...
Durna gadułka zaś, kukułka,
Ptak samolubny, ciągle w kółko
Kuku i kuku tylko wie.
A za nią echa gra ustawna.
O, głowo nasza nieszczęśliwa!
Nic, tylko uciec. Boże, zbaw nas
Od elegijnych pokukiwań!

R A D A

Wierz mi: gdy trutni i komarów
Rój gazeciarski wokół bzyka,
Słów nie trać, szkoda i języka,
Milczeniem zbądź bezczelny narów.
Racją ni smakiem nie przełamiesz
Uporu złego ich, a zatem
Gniew byłby grzechem. Lecz się zamierz
I celnym — klaps! — epigramatem.

ZBIÓR OWADÓW

Proszę popatrzeć — oto śliczna
Kolekcja entomologiczna.
Jaka pstrokata to kompanja!
Ilem się za tem nauganiał!
A jaki dobór! ani słówka!
Oto X, proszę, boża krówka,
Tu Y — pająk jadowity,
Z — żuk krajowy znakomity,
Tu N — maluśka czarna muszka,
A tutaj znowu M — stonóżka.
O, jakie mnóstwo preparatów!
W ramkach, pod szkłem, równiutko, schludnie
Sterczą, nawskroś przebite cudnie,
Na szpilkach mych epigramatów.

NA BUŁGARINA

Nie w tem sęk, żeś ty Polak, duszko!
Lach jest Mickiewicz, lach Kościuszko,
Bądź sobie Tatar czy mandaryn,
Bądź Żyd — i to nie żaden wstyd,
Ale w tem sęk, żeś ty Vidocq Figlarin.

P R Z Y P I S Y

Str. 3 PRZYPOMNIENIE

W rękopisie Puszkina znaleziono jeszcze pięć (niewykończonych) strof tego wiersza.

Str. 4 Z ODY „WOLNOŚĆ“

Z dwunastu ośmiowierszy oryginału przetłumaczyłem cztery końcowe.

Str. 6 DO ŻUKOWSKIEGO

Wasilij Żukowskij (1783—1852), poeta romantyk i znakomity tłumacz; przyjaciel Puszkina.
„Dla wybranych“ — ściślej: dla niewielu, „Dlia niemnogich“ — pod takim tytułem wydawał Żukowski w latach 1817—1841 przekłady z niemieckich poetów.

Str. 14 WYJĄTEK Z „ROZMOWY KSIĘGARZA Z POETĄ“

Całość przełożył St. R. Dobrowolski w zbiorze wierszy „Wróżby“, Warszawa, 1934.

Str. 16 NAŚLADOWANIE KORANU

Cykl ten składa się z dziewięciu utworów.

Str. 19 WIECZÓR ZIMOWY

„Moja starowinko“... Mowa o Arinie Rodionownie, „niani“, piastunce Puszkina.

Str. 22 SCENA Z „FAUSTA“

Utwór samodzielny, nie z Göthego. Poeta Wieniewitinow pisał, że ten wiersz jest „dalszym ciągiem „Fausta“.

Str 29 PISMO NA SYBIR

Wiersz poświęcony zesłanym „dekabrystom“ — uczestnikom rewolucji grudniowej (14 grudnia 1825 r.).

Str. 33 DO KSIĘŻNY Z. A. WOŁKOŃSKIEJ

Salon moskiewski ks. Zenejdy Wołkońskiej (1792—1862) gromadził najwybitniejsze osobistości. Bywał w nim i Mickie-

wicz (por. wiersz „Na pokój grecki w domu księżnej Zenejdy Wołkońskiej w Moskwie").
Catalani (Angelica) — słynna śpiewaczka (1779—1849).

Str. 36 BLISKO WENECJI...

Wiersz „Bliz miest, gdie carstwujet Wenecija złataja" jest przekładem Puszkina z wiersza A. Chénier „Près des bords où Venise est reine de la mer".

Str. 40 26 MAJA 1828 R.

W odpowiedzi na ten utwór metropolita moskiewski Filaret napisał wiersz „Nie naprasno, nie słuczajno", na co z kolei Puszkin odpowiedział wierszem „W jałowej nudzie" (p. str. 63).

Str. 42 ANCZAR

Anczar — drzewo jadu, zwane też *upas*. Czemier — jad, którym strzały zatruwano.

Str. 48 POŁTAWA

Urywek z pieśni III. W bitwie pod Połtawą (1709) Szwedzi zostali rozgromieni przez wojska Piotra I.
Spółpanujący możnowładca („połudzierżawnyj włastielin") — Aleksandr Mieńszikow (1673—1729), który, według legendy, był niegdyś przekupniem „blinów", potem ordynansem cara, aż stał się generalissimusem armji i najwyższym dostojnikiem państwowym.

Str. 51 W ROZKOSZNYM CIENIU...

Saadi (1184—1263), najznakomitszy poeta perski, autor „Gulistanu" („Ogrodu róż").
Bachczysaraj — miasto na Krymie, dawna rezydencja chanów krymskich.
Girejowie — dynastja chanów.

Str. 53 DO SZTAMBUCHA

Do Karoliny Sobańskiej (1794—1885), siostry powieściopisarza Henryka Rzewuskiego i pani Hańskiej-Balzakowej.

Str. 57 SKARGI PODRÓŻNE

„Jar" — słynna restauracja moskiewska. Miasnicka — ulica w Moskwie.

Str. 63 Zob. przypis do wiersza „26 maja 1828".

Str. 66 SONET

Motto: „Nie gardź sonetem, krytyku". Wordsworth — poeta angielski (1770—1850). Piewca Litwy — oczywiście Mickiewicz. Delwig — baron Antoni Delwig (1798—1831), poeta, kolega licealny Puszkina.

Str. 67 BIESY

Fragment tego wiersza postawił Dostojewski jako motto do swej powieści o tym samym tytule.

Str. 73 MÓJ RODOWÓD

„Blinami dziad mój nie handlował" — aluzja do Mieńszykowa (zob. przypis do „Połtawy"). Dalsze aluzje tej strofy dotyczą przedstawicieli utytułowanych rodów rosyjskich.
Racza, Radsza — od którego, w siódmem pokoleniu, pochodził Grigorij Puszkin, protoplasta rodu Puszkinów.
Iwan IV — Iwan Groźny.
Mieszczanin z Niżniogrodu — Kuźma Minin, narodowy bohater z „czasów zamętu" („smutnoje wriemia"), który wyruszył zbrojnie z Niżniego Nowogrodu przeciw hetmanowi Chodkiewiczowi.
Syn cierpiętnika — pierwszy Romanow, car Michał Fiodorowicz, syn patryarchy Filareta.
Jakób Dołgoruki — wybitny mąż stanu z czasów Piotra I, Peterhof — letnia rezydencja carów.
W roku 1762 Katarzyna II strąciła z tronu cara Piotra III. Minich — ówczesny dostojnik. Dziad poety, Lew Puszkin, wsadzony był przez Katarzynę do twierdzy.
Orłow — faworyt carycy.
Musin-Puszkinowie — znany ród arystokratyczny.
„Mój rodowód" ma jeszcze 20 wierszy „Post scriptum", których nie przełożyłem.

Str. 76 GIAUROWIE STAMBUŁ DZISIAJ SŁAWIĄ...

Bazar (z tureckiego) — właściwie: rynek, targowisko; dla rytmu pozostawiłem to słowo w brzmieniu oryginału. W dawnych wydaniach było — „po kładbiszczam" (po cmentarzach). Wieżyce — w oryginale: zubcy.

Str. 83 BOHATER

O Napoleonie.
Motto z ewangelji św. Jana XVIII. 38.

Str. 86 Z „UCZTY PODCZAS DŻUMY"

Jest to „pieśń przewodniczącego" ze sceny dramatycznej, tłumaczonej z angielskiego. Pieśń ta jest utworem oryginalnym poety, wstawionym do przekładu.

Str. 89 OSZCZERCOM ROSJI

Znakomite studjum o tym wierszu i dwuch innych, stanowiących t. zw. „przeciwpolską trylogję" Puszkina („Kliewietnikam Rossii", „Borodinskaja godowszczina" i „Pieried grobniceju swiatoj") znajdzie czytelnik w książce prof. Wacława Lednickiego „Aleksander Puszkin", Kraków, 1926.

Str. 97 Z „JEŹDŹCA MIEDZIANEGO"

Przekład całego poematu ukazał się nakładem „Bibljoteki Polskiej": „Jeździec Miedziany. Opowieść petersburska. Przekład Juljana Tuwima. Studjum Wacława Lednickiego", Warszawa, 1932.

Str. 111 NIE CENIĘ ZBYTNIO PRAW...

Tytuł w oryginale: „Z Pindemonte" — jako rzekomy przekład, ze względów cenzuralnych.

Str. 116 SZARAŃCZA

Gdy Puszkin był w Odessie, przełożony jego, hr. Woroncow, polecił mu zbadanie sprawy szarańczy, która obsiadła pola, i napisanie raportu. Wierszyk ten ma być owym „raportem".

Str. 126 NA BUŁGARINA

Faddiej Wieniediktowicz Bułgarin (Tadeusz, syn Benedykta, Bułharyn), 1789—1859, Polak, publicysta i krytyk, autor paru powieści, hurrapatrjota rosyjski, redagował wraz z Greczem pismo literackie „Siewiernaja Pczeła“ („Pszczoła Północy“). Konfident „III oddziału“ (tajnej policji); znienawidzony przez Puszkina; Vidocq — słynny podówczas detektyw francuski.

SPIS RZECZY

1824

1825

1829

1830